ROK III

Nr 3

warszawski miesięcznik społeczno literacki

LEWY TOR

Cena Numeru 15 zł

TREŚĆ NUMERU:

J. CYRANKIEWICZ

Jednolity front ruchu zawodowego

Byli tacy przed wojną, którzy próbowali oddzielić ekonomiczną, gospodarczą walkę robotników o poprawę swoich zarobków, o poprawę swojego bytu — od walki politycznej, od walki o władzę i o socjalizm.

Byli tacy, którzy próbowali odgrodzić Związki Zawodowe i ich walkę od walki, którą toczyła Polska Partia Socjalistyczna.

Byli tacy, którzy mniej świadomym robotnikom chcieli wytłumaczyć, że walka o poprawę bytu da się również zdecydowanie, a przy tym „niezależnie" poprowadzić przy pomocy Związków, które bardzo głośno odżegnywały się od klasowości, od polityki, których wodzowie zasiadali wspólnie z wodzami Lewiatana, z Wierzbickim i Wiślickim, w tak zwanym „Bezpartyjnym Bloku".

Ale łatwiej było pozyskać dla tej „bezpartyjnej i apolitycznej" organizacji związkowej paru przywódców, a znacznie trudniej, mimo redukcji, mimo terroru — masy robotnicze.

Bo życie, to dobry nauczyciel. Bo wystarczyło mieć oczy, aby widzieć, że Radziwiłł i Wierzbicki i Wiślicki nigdy nie głosowali za tym, co robotnikom mogło pomóc i byt ich polepszyć, na własne oczy także się widziało, jak wodzowie osławionego ZZZ co innego próbowali masom rewolucyjnie mówić, a inaczej **musieli** w Sejmie głosować — przeciw robotnikom, przeciw zdobyczom ubezpieczeniowym, przeciw wszystkiemu, co mogło Lewiatanowi, przemysłowcom, fabrykantom odebrać choćby część ich zysku.

I byli tacy, którzy próbowali robotnikom udowadniać. że nie ma żadnej walki klas, że wspólny jest interes robotni-

ka i fabrykanta, że solidarna musi być współpraca, że związki zawodowe muszą być w swoim upominaniu się o prawa robotnika spokojne, ostrożne, muszą **współpracować,** a nie walczyć. Próbowali głosić solidaryzm społeczny w państwie kapitalistycznym. Solidaryzm taki był i musiał być oczywiście **poddaniem się wyzyskiwanego na łaskę i niełaskę mocniejszego,** wspieranego przez kapitalistyczne państwo.

I znowu, komu nie wystarczył zdrowy rozsądek, temu pomogło doświadczenie.

To był taki solidaryzm społeczny, taka współpraca, jak konia, który ciągnie i tyle dostaje jeść, aby z głodu się nie przewrócił — z woźnicą, który batem pogania.

I tak wyglądał ten solidaryzm, ta **współpraca** w praktyce, że gdy klasowe związki zawodowe ruszały do akcji górniczej, a robotnicy, nieświadomi robotnicy, wciągnięci do faszystowskiej solidarystycznej „Pracy Polskiej", dziwili się, czemu to ich związek do akcji reszty robotników nie przystępuje, do akcji słusznej, potrzebnej, gdy swój Związek naciskali, gdy się buntowali — to dyrektorzy kopalń jeździli do Dmowskiego, wodza polskiego nacjonalizmu i ojca duchowego tych związków, o interwencję, z wyrzutami, że nie po to dawali na związek pieniądze, aby teraz właśnie, w momencie próby, mieli na rozbijackim związku się zawieść.

I im cięższa była walka klasy robotniczej i im mocniej wiązała się i musiała się wiązać w jasnym i zrozumiałym sojuszu przemoc gospodarcza fabrykanta z przemocą polityczną sanacyjnej dyktatury — tym jaśniej dla mas pracujących występowała **nierozerwalność** walki ekonomicznej o poprawę bytu **z walką polityczną,** z walką z sanacją, z walką z faszyzmem o prawa polityczne i o władzę.

To przecież ten sam policjant wywoził do Brześcia przywódców polskiej demokracji i ten sam policjant, sanacyjny policjant, strzelał do strajkujących, do bezrobotnych.

Ten sam policjant wywoził do Berezy polskich komunistów, zamykał socjalistów i ten sam sanacyjny policjant, na rozkaz tych samych ministrów i wojewodów, wypędzał z fabryk strajkujących robotników, masakrował w Krakowskim „Sempericie" robotnice, które nie chciały pracować za 18 groszy na godzinę.

I ten sam policjant strzelał w roku 1936 do robotników na ulicach Krakowa i Lwowa, Częstochowy, Gdyni i Chrzanowa i wszędzie tam, gdzie wyzysk, gdzie bezrobocie i nędza kazały robotnikowi ruszyć do walki.

W ogniu doświadczeń roku 1935 i 1936 kształtowała się i umacniała pełna świadomość polskiego świata pracy.

Instynktem mas powstawał wówczas w akcji, w obronie i natarciu **jednolity front klasy robotniczej.**

Klasowe Związki Zawodowe stały się terenem jedności, a dzięki temu **stały się potęgą.**

Odnaleźli się wówczas także zbłąkani. Pamiętamy te dni, kiedy ci wszyscy, wodzeni po manowcach bezpartyjności, albo solidaryzmu, przychodzili do nas całymi organizacjami, rzucając nam pod nogi sztandary swoich rozbijackich związków.

Silna, zjednoczona, walcząca klasa robotnicza stawała się wówczas **trzonem całego obozu demokracji polskiej.**

Wahające się przed tym grupy inteligencji pracującej, o których jeszcze w 1934 roku pisał sanacyjny „Przełom", że są „bez balastu ideowo-politycznych obciążeń" i że „potrafiły przełamać szkodliwy stan łączenia polityki ze sprawami zawodowymi" — **te same grupy** już 1 marca 1936 na Zjeździe Unii Pracowników Umysłowych **uchwalają solidarność z ruchem robotniczym.**

Dzięki postawie klasy robotniczej i **dzięki sile klasy robotniczej** przełamane zostaje wówczas niebezpieczeństwo pozostawania w postawie wahającej i wyczekującej — pomiędzy frontem demokracji i faszyzmu — tych grup inteligencji, o które najzaciętszą walkę toczył faszyzm. Wiedząc, że już samo wahanie się tych grup, obiektywnie antykapitalistycznych rozszerza mu bazę masową.

Ofensywa klasy robotniczej tych lat **hamuje w Polsce rozrost faszyzmu,** zaskakuje tych wszystkich Bieleckich, Doboszyńskich, Koców i Kowalskich, którzy sądzili, że przyprowadzą Hitlerowi Polskę na faszystowskim sznurku, jako wasala ideologicznego, na własną Polski zgubę i zagładę.

Potężna, żywiołowa dynamika klasy robotniczej, która — nie zapominajmy o tym — **tajemnicę swej siły znalazła w jednolitym froncie** — ukazuje dopiero we właściwym świetle starczą, sztuczną, rozdymaną, a hucznie reklamowaną, na pożywkach antysemickich wykarmioną t. zw. „dynamikę" polskiego faszyzmu, dynamikę petardy i wybijanych szyb.

...Mussolini, gdy zebrał swe czarne koszule, to znalazł, wobec chaosu panującego wówczas we Włoszech, odwagę marszu na Rzym.

...Doboszyńskiemu nie podoba się Kraków ze swoimi walkami strajkowymi i nazywa go polską czerwoną Barceloną.

...Zamiast czarnych koszul, zbiera parobków ze swego majątku i maszeruje nie na Kraków, ale dla pewności w odwrotnym kierunku, do Myślenic.

Czerwona robotnicza Łódź otrząsa się z błędów sekciarstwa i partyjnych ambicyj. W sojuszu klasowym związków zawodowych z Polską Partią Socjalistyczną, **w jednolitym froncie socjalistów i komunistów** daje w wyborach wspaniałą odprawę tym, którzy w polskiej klasie robotniczej szukali bazy masowej dla faszyzmu, lubiącego korzystać z błędów i z rozbicia.

W warunkach stworzonych zdecydowaną, rewolucyjną walką klasy robotniczej, po przełamaniu fali faszyzmu, po odwróceniu procesu faszyzowania Polski, po udowodnieniu przez świat pracy swojej postawy i swojej siły — **dołącza się do walki ruch ludowy przez strajk chłopski 1937-go roku.**

Częściowo nawet wbrew intencjom niektórych przywódców ludowcowych, którzy chcieli, aby chłop walczył sam, aby mu potem mówić, że jest osamotniony i poszukać mu sojusznika na prawo — **proklamuje wówczas Polska Partia Socjalistyczna, Komunistyczna Partia Polski i klasowe związki zawodowe, w szeregu miast solidarnościowy Strajk Generalny.**

Żywiołowy strajk solidarnościowy cementuje nierozerwalny od tej chwili sojusz robotniczo-chłopski. Teraz już trudniej jest wmówić chłopu, że sojusznika ma szukać na plebanii albo w Lanckoronie.

Chłop wie, że **w walce o demokrację i o Polskę Ludową ma jednego naturalnego, potężnego sojusznika, który go nigdy nie zawiedzie, ziemi mu nie odbierze i kartelami nie zrujnuje— klasę robotniczą.**

Wiadome już jest dla wszystkich, że na polskiej ziemi faszyzm walkę przegrał, że naród polski w swojej olbrzymiej większości opowiedział się przeciw faszyzmowi, przeciw dyktaturze Rydza i Becka, Koca i Skwarczyńkiego, Piaseckiego i Doboszyńskiego — przeciw zdradzieckiemu sojuszowi z Hitlerem — za Blokiem Antyhitlerowskim — za Blokiem Państw Pokojowych.

Nie odwróciły już tego procesu spiski Rydza z ONR-em. Ofensywne siły faszyzmu są zdruzgotane.

Wiadomo już, że w zbliżającej się rozgrywce wojennej, Hitler **Polski, jako sojusznika, nie dostanie.** I nie dostał.

Taka rzecz stała się tylko dlatego, że zdrowy instynkt narodu, w momencie próby, nie poszedł za tymi, którzy chcieli Polskę w sojuszu ideologicznym, w bloku interwencyjnym umieścić obok Niemców. Aby później po ewentualnym zwy-

cięstwie Niemiec zatracić, zaprzedać Jej istnienie, jako państwa i jako narodu, albo, w razie klęski, unurzać Ją w hańbie wspólniczki tych wszystkich zbrodni, których dopuścił się hitleryzm.

Ucichły z wybuchem wojny te przeraźliwe krzyki naszej sfaszyzowanej t. zw. „narodowej"' młodzieży, zachwalającej faszyzm.

Opadły ręce, wznoszone przed tym do faszystowskich pozdrowień.

Zamilkli różni „uczeni w piśmie i w prasie", nauczyciele narodu, niezmordowani chwalcy faszyzmu.

Zniknęli ci, którzy jeździli do Norymbergi i do Berlina czerpać natchnienie, i generałowie, i profesorowie, i politycy, i niedonoszeni wodzowie. Ożyli dopiero na emigracji, wyczekując na „trzecią wojnę".

Jako przywódczyni narodu, jego walki o wolność, nosicielka haseł Niepodległości i Demokracji, nieomylna w swojej ocenie faszyzmu, od lat tocząca z nim walkę — wtedy, kiedy się o tym profesorom, siedzącym potem w Oranienburgu, nie śniło — **zastała klasa robotnicza**, polski świat pracy, **awangarda demokracji.**

I spośród wszystkich wojennych trudności i komplikacji, wśród konieczności naszych specjalnych, przezwyciężenia w naszym narodzie kompleksów antyrosyjskich, wśród prowokacji różnych ciemnych sił spekulujących na trzecią wojnę, wśród rozbudzonego szowinizmu — umiała klasa robotnicza przechować i przenieść do Polski Niepodległej, tajemnicę swojej siły, swojej roli, jednolity front. Już nie tylko jako hasło, ale jako codzienne zadanie praktyczne. Nastąpiło przecież w ogniu doświadczeń tych ciężkich lat jeszcze lepsze niż przed tym, poznanie się wzajemne.

Jesteśmy razem w związkach zawodowych. A razem ze związkami zawodowymi, jako Partie, stoimy dziś na gruzach fąszyzmu, ale także na gruzach zniszczonej przez wojnę Polski. Stoimy jako siła rządząca, jako gospodarze.

Są dzisiaj znowu tacy, którzy udają, że nie wiedzą o tym, iż na te trudności, jakie dzisiaj mamy, złożyły się ciężkie lata wojny, zniszczenie materialne i zniszczenia moralne, przyniesione przez Hitlera.

Są tacy spekulanci polityczni, którzy licząc na naiwność mas, chcieliby wykorzystać te wszystkie trudności, aby światu pracy wydrzeć władzę z ręki.

Rozpoznajmy niektórych z pośród nich, że to oni już raz

tak w Polsce zrobili. Rządzili w roku 1921 i 1922 i później. Polska była wówczas nie zniszczona tak jak teraz. Ale udają, że zapomnieli, że za ich rządów w roku 1921 bochenek chleba kosztował 150.000 marek, po tym nawet pół miliona — a płaca robotnika i urzędnika wystarczała **miesięcznie** na pięć takich bochenków chleba.

Wolimy wobec tego już do końca rozwiązywać te trudności. Bo będzie lepiej przypilnować, aby w tym najcięższym okresie klasa robotnicza nie dźwigała na sobie wraz z pracownikami umysłowymi wyłącznie prawie ciężaru całej pracy i odbudowy, aby te ciężary coraz równomierniej rozkładać. Tak, jak to mówi ostatnia uchwała Rady Naczelnej PPS, nakreślająca polityce gospodarczej państwa konieczność: „polepszenia aprowizacji przede wszystkim dla pracujących, polepszenia warunków mieszkaniowych klasy robotniczej — podniesienia poziomu realnych płac robotniczych i pracowniczych, zaostrzenia walki ze spekulacją" itd.

Odpowiednią rolę Związków Zawodowych, odpowiedni udział ruchu zawodowego we wpływaniu na politykę gospodarczą Państwa uważamy za konieczność.

Po przez Związki Zawodowe tak, jak i przez obie Partie, realizować się musi decydujący wpływ mas pracujących na budowę Państwa i na rządzenie Państwem. Ten decydujący wpływ objawił się już w dokonywujących się przemianach społecznych, od reformy rolnej poczynając, po przez uspołecznianie i upaństwawianie podstawowych gałęzi produkcji.

Te dokonania są fundamentem i gwarancją polskiej Demokracji.

Już nikt koła historii nie odwróci. A gdy spekulanci mówią o wyborach, licząc, że powtórzą się lata po tamtej wojnie, to my wiemy i pewni jesteśmy, że bez względu na trudne warunki dzisiejsze, **zdrowy instynkt mas ludowych da tym spekulantom wyborczym mocną i zdecydowaną odpowiedź.**

Tak, jak zdecydowaną zapowiedź poniosła klasa robotnicza wszystkich krajów, zrzeszona w Związkach Zawodowych, do Paryża na Międzynarodową Konferencję Świata Pracy — proklamując się strażniczką pokoju powszechnego. Pokoju świata nie dzielonego na bloki, nie rozzuchwalającego imperializm niemiecki, — nasze śmiertelne zagrożenia, — tylko świata w woli utrzymania pokoju jednolitego, w zgodnym współdziałaniu Trzech Wielkich Mocarstw — Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Przyczyniać się do tego będzie polska klasa robotnicza po przez Związki Zawodowe i obie swoje Partie, polityką przyjaźni i sojuszu ze wszystkimi sąsiadami. W szczególności ze Związkiem Radzieckim, militarnym i ideologicznym rozgromicielem hitleryzmu.

Tym różnym elementom, które dzisiaj w Polsce w obliczu kolosalnego wysiłku klasy robotniczej, dźwigającej na sobie prawie cały ciężar odbudowy, próbują przymierzać taki czy inny szablon formalnej demokracji, a jak im coś nie pasuje, to pomrukują z niezadowoleniem, odpowiadamy: **Już nigdy — po doświadczeniu z Hitlerem i tymi wszystkimi, którzy próbowali demokrację i swobody demokratyczne wykorzystać, aby dojść do władzy i demokrację zniszczyć nie należy liczyć na naiwność klasy robotniczej.** Tak, jak wiemy, że żadnego rządzącego faszysty jeszcze nikt kartką wyborczą od władzy nie odpędził, tak samo niech nie łudzą się ci, którzy liczą, że kartką wyborczą i jakimś dzikim żerowaniem na nastrojach może faszyzm wziąć władzę.

Muszą się wszyscy pogodzić z tym, że Demokracja i jej swobody będą dla grup demokratycznych. Przemalowanym pośpiesznie szyldom też nikt się zwieść nie da. Za demokratę będziemy uważać nie tego, który umie się w niej wygodnie i beztrosko rozeprzeć, ale tego, który umie o nią walczyć i jej, w razie zagrożenia, bronić i tego, który umie ją tworzyć. Nie aktem wyborczym tylko, ale realizować — przez reformy społeczne: przez reformę rolną, przez uspołecznienie i upaństwowienie przemysłu.

Różne możemy popełniać błędy. Będziemy się z tych błędów wspólnym wysiłkiem wydobywać.

Ale jednego błędu nie popełnimy nigdy: Ażeby faszystę pomylić z demokratą. Bo w polskich warunkach nie jest ich tak trudno odszukać.

Bo wchodzi tu w grę nie tylko interes i perspektywy klasy robotniczej. Ale tak, jak przed wojną i po przez wojnę, tak i dziś klasa robotnicza jest nosicielem prawdziwej niepodległości. Bo tylko postęp społeczny i tylko polska Demokracja jest legitymacją, uprawnieniem Polskiego Narodu do Niepodległości.

Jeżeli dziś rzuciliśmy okiem wstecz na walkę i na dorobek polskiego świata pracy, na te lata przedwrześniowe, — lata kształtowania się świadomości klasy robotniczej, lata doświadczeń, lata budowania jej siły w jednolitym froncie,

w walce z faszyzmem, w walce z koncepcją Polski, jako wasala Hitlera, **to ten właśnie dorobek jest legitymacją polskiej klasy robotniczej i równocześnie legitymacją naszego Narodu do traktowania go jak równego wobec równych, wolnego wobec wolnych.**

Ten dorobek wnoszą w dzisiejszą polską trudną rzeczywistość Polska Partia Socjalistyczna, Polska Partia Robotnicza i Związki Zawodowe.

STEFAN MATUSZEWSKI

Od starej do nowej P. P. S.

Katastrofa wrześniowa z jej tragicznymi następstwami stała się nie tylko najcięższym przeżyciem narodu, w porównaniu — z tym wszystkim, co było dotychczas w naszych dziejach — lecz równocześnie **momentem przełomowym i zwrotnym w życiu politycznym Polski.** Dopiero w warunkach, kiedy najeźdźca niemiecki mógł bezkarnie znęcać się i zabijać ludzi w naszym kraju, kiedy brutalnie podeptane przezeń zostały wszelkie, nawet najprymitywniejsze prawa człowieka, jasne się stało dla wszystkich, że w okresie poprzedzającym najazd Niemców na Polskę, staliśmy na skraju przepaści, do której ostatecznie stoczyliśmy się. Nie mogło już wtedy ulegać żadnej wątpliwości, że katastrofa ta nie była przypadkowym wydarzeniem, że wypadki wrześniowe miały swoją genezę w całokształcie ówczesnej polityki europejskiej, której symbolem stało się Monachium, że były one prostą konsekwencją beckowsko-ozonowej racji stanu.

Wypadki tych trzech jesiennych tygodni samotnej i beznadziejnej walki z przemocą wroga, najjaskrawiej ilustrowały całkowite bankructwo myśli politycznej, która zrodziła tę „rację stanu". Potoczyły się one wprost z oszałamiającą szybkością bezpośrednio po wszystkich zapewnieniach wodzów o „gotowości", o zwartości i były jednocześnie bolesnym przebudzeniem się ze snów o potędze i mocarstwowości.

Wszystko to sprowadziło głęboki **wstrząs w całym systemie naszego życia politycznego.** We wszystkich partiach politycznych, które istniały na obszarze Rzeczypospolitej, zaznaczyła się

zdecydowana **tendencja do rewizji dotychczasowej linii i taktyki politycznej.** Proces ten zaszedł również w szeregach P.P.S.

Już w jesieni w 1939 roku część członków C.K.W P.P.S. wbrew stanowisku przewodniczącego Rady Naczelnej i niektórych jej członków rozwiązała P.P.S., gdyż — jak stwierdził sekretarz C.K.W. „sprawa niepodległości Polski i Socjalizmu" stracona została na dłuższy okres. Stwierdzając to — C.K.W. starej P.P.S. jeszcze raz dowiódł, jak głęboko i jak organicznie grupa działaczy z kierownictwem dawnej P.P.S. związana była z tym systemem i porządkiem, z tą orientacją polityczną, które na zewnątrz i na wewnątrz były wyrazem sanacyjnej „racji stanu". W warunkach hitlerowskiego terroru, krok ten rzeczywiście wprowadził zamęt, osłabił aktywność masy partyjnej, spowodował dezorientację, działał demobilizująco. Żywotność i honor tej tradycyjnie bojowej i prawdziwie wolnościowej partii uratowali ci jej przedstawiciele, którzy przy poparciu dołów partyjnych całej masy robociarskiej jeszcze w okresie przedwojennym przeciwstawiali się wszelkiej kompromisowej z sanacją nagonce przeciw Związkowi Radzieckiemu i realizowali faktycznie jednolity front robotniczy. Do nich zaliczyć należy przede wszystkim N. Barlickiego, St. Dubois, M. Niedziałkowskiego, A. Próchnika, Osóbkę-Morawskiego i St. Chudobę. Na rozwiązanie partii odpowiedzieli oni stworzeniem organizacji, z której wzięła początek późniejsza R.P.P.S.

Po pewnym czasie, kiedy działała już wymieniona grupa, kilku byłych członków C.K.W. zorganizowało W.R.N. W masie partyjnej zgodne było naogół stanowisko, że rozbicie P. P. S. przynosi ruchowi robotniczemu ogromną szkodę. Wszelkie jednakże wysiłki w kierunku zjednoczenia, czynione przez R.P.P.S., nie znajdowały zrozumienia u przywódców W.R.N. Na propozycje zjednoczenia odpowiadali W.R.N.-owcy w swoich okólnikach organizacyjnych oszczerstwami i kalumniami. Tow. Osóbka-Morawski pisze o tym w jednym ze swoich artkułów pt. „O jedność naszej Partii" w Barykadzie Wolności z dnia 10 września 1944 r. Nr 1:

> „Pierwszy głos o jedność P.P.S. rozległ się na pierwszym Zjeździe R.P.P.S. we wrześniu 1941 roku. Zjazd ten jednomyślnie powziął uchwałę, aby R.P.P.S. zwróciła się do W.R.N.-u o zjednoczenie się. W.R.N. w odpowiedzi zapytała o warunki, na jakich zjednoczenie mogłoby nastąpić, a gdy te warunki otrzymała, nie tylko nie wyraziła żadnych swoich uwag co do nich, ale w poufnych okólnikach organizacyjnych nazwała R.P.P.S. „jaworowszczykami" (?), komunistami itp.

Po śmierci gen. Sikorskiego, kiedy w ręce sanacji przeszedł cały aparat rządowy i administracyjny centrali londyńskiej i w delegaturach krajowych, zaostrzyły się przeciwieństwa między W.R.N. i R.P.P.S. Kiedy R.P.P.S. odgrodziła się zdecydowanie od sanacyjnych spekulantów politycznych i sprecyzowała **jasno swoją orientację polityczną**, opartą na sojuszu ze Zw. Radzieckim jako z naturalnym sprzymierzeńcem Polski. Organy kierownicze W.R.N. w instrukcjach organizacyjnych, odezwach i w całej swej prasie prowadziły wściekłą kampanię przeciwko Związkowi Radzieckiemu, prześcigając w tym nawet niejednokrotnie najpodlejsze szmatławce O.N.R.-u.

Rozwój wypadków potwierdził niezbicie słuszność linii politycznej reprezentowanej przez R.P.P.S.

R.P.P.S. w swych wytycznych ideowych — nawiązując do najlepszych tradycji P.P.S. — wytrzymała próbę rzeczywistości. Logicznym więc i naturalnym następstwem jest fakt, że odłam ten stał się **trzonem ideowym odrodzonej znów P.P.S.**

Polska Partia Socjalistyczna, która odgrywa dziś dominującą i pierwszorzędną rolę w odbudowie naszego państwa, nie może jednak i nie chce zrezygnować z tej masy zdezorientowanych, często obałamuconych, a w gruncie rzeczy prawdziwie i szczerze oddanych sprawie socjalizmu — działaczy i bojowników, których często przypadek w warunkach konspiracji sprowadził do szeregów W.R.N. Nie może z nich zrezygnować tym bardziej, że cała moc członków dawnej W.R.N. zgłosiła swój akces do partii i że wielu działaczy W.R.N. wykazało w swej pracy, często na odpowiedzialnych stanowiskach państwowych, że są wierni sprawie Polski Ludowej i oddani ideologii P.P.S. Świadczy o tym odpowiednia uchwała Rady Naczelnej, powzięta na pierwszym w oswobodzonej Warszawie posiedzeniu 26.II 1945 r.

„Rada Naczelna P.P.S., zważywszy, że w specjalnych warunkach konspiracji, nie każdy członek partii miał możność dokładnego zorientowania się zarówno w słusznej ocenie sytuacji politycznej, jak i w przyczynach rozbicia organizacyjnego P.P.S. na R.P.P.S. i W.R.N., postanawia wykluczyć z partii tylko głównych przywódców i twórców koncepcji politycznej i ideologicznej W.R.N., innych członków W.R.N. traktować zaś w zależności od ich obecnego stanowiska politycznego i wartości osobistej".

Nawet po utworzeniu Rządu Jedności Narodowej i likwidacji londyńskiej „centrali", grupa przywódców W.R.N. orientując się na pozycje reakcji w naszych niesłychanie trudnych warunkach gospodarczych, nie zrezygnowała ze swoich poli-

tycznych ambicji. Projekt ich stworzenia jeszcze jednej partii spotkał się z zasłużoną odprawą ogólnie znanej, jednomyślnie powziętej decyzji prezydium K.R.N., dotyczącej tworzenia nowych stronnictw politycznych.

Rada Naczelna P.P.S. na posiedzeniu w dniu 4 listopada r. bież. określa również niedwuznacznie swoje stanowisko w tej sprawie. „Rada Naczelna jak najostrzej potępia próby tworzenia z niedobitów W.R.N. nowej — pseudo-socjalistycznej partii. Rada Naczelna P.P.S. poleca całej organizacji partyjnej rozwinięcie szerokiej akcji uświadamiającej co do reakcyjnego i antyrobotniczego charakteru tych prób".

Idea jednolitego frontu robotniczego, która jest **naczelnym hasłem politycznym odrodzonej P.P.S.,** znajduje swój wyraz w praktycznej współpracy z P.P.R. na każdym odcinku odbudowy państwa, na wszystkich podstawowych placówkach naszego życia gospodarczego, na każdej pozycji walki o utrwalenie naszych demokratycznych zdobyczy. W tej chwili nie ma zatym miejsca na nieporozumienia między masą partyjną a kierownictwem, jak to było przed wojną i wszelkie próby osłabienia jednolitego frontu robotniczego likwidowane są natychmiast. Po doświadczeniach zdobytych w walce z reakcją, w krwawych zmaganiach z okupantem — **czujne są nasze szeregi. Na tej czujności zasadza się siła odrodzonej P.P.S., jej rola i udział w odbudowie kraju.**

Dziś, kiedy reakcja, wykorzystując legalne możliwości działania w szeregu ugrupowań—usiłuje zaszachować obóz demokracji polskiej — nabierają ogromnej wagi uchwały ostatniego posiedzenia Rady Naczelnej, odnośnie wyborów.

„Mając na uwadze dobro i wielkość, niepodległość i suwerenność Polski, gwarancję całkowitego zwycięstwa Demokracji nad faszyzmem, P. P. S. stojąc na stanowisku konieczności uzgodnienia taktyki wyborczej z bratnią partią P.P.R., wysuwa inicjatywę stworzenia Bloku wyborczego wszystkich Stronnictw Demokratycznych, stojących na platformie Rządu Jedności Narodowej pod hasłami utrwalenia potęgi Niepodległej i Suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej w oparciu o Odrę i Nissę, utrwalenie władzy ludu pracującego wsi i miast".

Jest to odpowiedź pełna godności i rozumu politycznego, dana tym wszystkim jawnym i ukrytym przeciwnikom demokracji i graczom politycznym, dla których jedyną szansą jest rozbicie frontu robotniczego, osłabienie pozycji ugruntowanych pracą P.K.W.N. i Rządu Tymczasowego, tych pozycji, które stały się podstawą stworzonego później Rządu Jedności Narodowej.

HENRYK JABŁOŃSKI

Jednolity front robotniczy we Francji

W dniu 21 października 1945 r. lud francuski wydać miał wyrok decydujący w sprawie ustroju swego państwa. Dwa postawione przez rząd tymczasowy pytania brzmiały w skrócie: 1) czy należy uznać wybraną w tymże dniu izbę za konstytuantę i 2) czy czas jej trwania ograniczyć do terminu 7 miesięcy, w ciągu których musi uchwalić nową konstytucję? Ponadto czy, po dokonaniu wyboru szefa rządu i uformowaniu przezeń gabinetu, ma ona być ograniczona w swych możliwościach wpływu na bieżącą politykę rządu i na możność jego zmiany?

Bezpośrednio po ogłoszeniu przez rząd tych pytań prawica zajęła stanowisko, które wypowiadać się miało formułą „nie, tak". Miało to znaczyć że prawica przeciwna jest konstytuancie i pragnie powrotu do konstytucji 1875 r., przewidującej parlament dwuizbowy. Gdyby jednak większość społeczeństwa wypowiedziała się twierdząco na pierwsze pytanie prawica woli, rzecz prosta, by uprawnienia tej konstytuanty były ograniczone, a rząd (czytaj zgodnie z ówczesnymi przewidywaniami: gen. de Gaulle) bardziej ustabilizowany.

Wkrótce jednak prawica doszła do wniosku, że tego rodzaju sformułowanie będzie niepopularne i prawie w całości poparła stanowisko socjalistów i ruchu republikańsko-ludowego (przekładając na naszą terminologię: „chrześcijańskich demokratów"), polecających głosować „tak, tak".

Jedynie mała frakcja „niezależnych radykałów" pozostała wierna formule „nie, tak", natomiast partia b. premiera Paul Reynaud (Alliance démacratique) pozostawiła swym zwolennikom wolną rękę co do odpowiedzi na pierwsze pytanie.

Nieprzejednane stanowisko wobec całości projektu gen. de Gaulle zajęła ostatecznie tylko partia radykałów społecznych (Herriot, Daladier), żądająca powrotu do konstytucji 1875 r., a nawet gdyby tego nie udało się przeprowadzić — pełnej suwerenności konstytuanty, tj. nieograniczania czasu jej trwania i całkowitego zwierzchnictwa nad władzą wykonawczą. Hasłem radykałów była więc formuła „nie, nie".

„Tak, nie" mówiła tylko partia komunistyczna i organizacje pozostające pod jej bezpośrednimi wpływami.

Taka była oficjalna pozycja kierownictw partyjnych. Nie zawsze pokrywało się z nią nastawienie dołów. Wyraźnie zaznaczyło się to jednak tylko we francuskiej partii socjalistycznej (SFIO). Stanowisko zajęte przez Bluma i władze partii wywołały w szeregu okręgów mocne sprzeciwy zwolenników formuły „tak, nie". Chcieli oni, podobnie jak komuniści, obalenia konstytucji 1875 r., ale stabilizację rządu i ograniczenie uprawnień i trwania konstytuanty uważali za nie do pogodzenia z zasadą „suwerenności ludu".

Opozycja przeciw blumowskiemu „tak, tak" i **wspólna ideowa platforma z komunistami** była u wielu terenowych działaczy socjalistycznych tak silna, że wyraziła się nawet w wystąpieniach publicznych.

Organ partyjny departamentu Ardéche „Ardéche socialiste" ogłosił dn. 6.V.1945 r. artykuł gwałtownie atakujący odpowiedź „tak" na drugie pytanie. Cały szereg lokalnych organizacji socjalistycznych w departamentach Lot-et-Garonne, Vosges, Savoie, Aisne, Loiret oraz cała organizacja w departamencie Gers, powzięły uchwały, potępiające stanowisko centralnych władz partyjnych.

Najostrzejszy konflikt zarysował sę w Marsylii (Departament Bouches-du-Rhône), gdzie doszło do rozłamu, a Julien Fraise, honorowy prefekt, przyjaciel i uczeń Jauresa, wystąpił z partii, ogłaszając w komunistycznym ‚Rouge-Midi" motywy swego kroku.

W tych warunkach zbliżał się dzień wyborów i referendum i nic dziwnego, że mało kto odważał sę na zbyt sprecyzowane przewidywania.

Rezultaty rozwiały nadzieje Bluma.

Partia socjalistyczna wraz z UDSR otrzymała mniej więcej tyle miejsc w konstytuancie, ile przewidywano, ale zepchnięta została, mimo to, na trzecie miejsce w metropolii, a na drugie, licząc metropolię, Algier i Maroko łącznie (142 mandaty na 545).

Na pierwszym miejscu znalazła się partia komunistyczna (wraz z MRF 152 na 545). Największą jednak niespodzianką było wysunięcie się ruchu Republikańsko-Ludowego (141 na 545) i klęska radykałów (25 mandatów).

Sumując rezultat trzeba stwierdzić: pierwszy raz w historii Francji obie partie robotnicze łącznie mają większość w parlamencie. Sukces więc jest niewątpliwy. Obie jednak odniosły sukcesy „niedoskonałe". Komuniści przegrali kampanię w sprawie drugiego pytania referendum, socjaliści zawiedli się

w swych marzeniach o decydującej roli w przyszłym parlamencie. Ale najważniejszą porażką obu partii jest kampania wyborcza, w której obie strony starały się możliwie najbardziej zdyskredytować konkurenta w oczach wyborców. Echa tych niechlubnych walk dają już rezultat widoczny np. na terenie rady departamentu Sekwany, gdzie socjaliści wstrzymali się od głosowania w czasie wyborów przewodniczącego, nie chcąc głosować na kandydata komunistów, na znak protestu przeciw jego działalności w okresie przedwyborczym. Współpraca obu partii na dłuższy dystans nie będzie też rzeczą łatwą.

Na marginesie wyborów należy sobie postawić dwa pytania: 1) czy inna taktyka wyborcza mogła zapewnić partiom robotniczym korzystniejszy wynik? 2) czemu przypisać gwałtowny wzrost MRP i osłabnięcie zarówno radykałów, jak i tradycyjnych stronnictw prawicowych?

Na pierwsze pytanie odpowiedź zacząć trzeba od strony formalnej. Ze względu na zastosowanie proporcjonalnego systemu wyborczego nie w ramach całego państwa, a jedynie wewnątrz każdego departamentu, wielką rolę przy rozdziale mandatów odgrywała sprawa „reszt". Zjednoczenie na jednej liście wyborczej socjalistów i komunistów pozwoliłoby (gdyby liczba głosów była równa sumie głosów otrzymanych w dn. 21.X na obie listy) uzyskać obu stronnictwom jeszcze kilkanaście „resztówkowych" mandatów, kosztem MPR, np. w departamentach: Isère i prawdopodobnie po jednym w Côtes-du-Nord, Finistère, Hérault, Loire, Maine-et-Loire, Moselle, Nord i Rhône (Lyon).

Różnice w razie istnienia jednej listy nie byłyby może tak wielkie, jak sądzi komunistyczna „Humanité" (350 — 360 zamiast 294), napewno jednak wyszłyby na korzyść obu partii.

Poważniejszą bezwzględnie sprawą od wystawienia list wspólnych czy oddzielnych była kwestia różnicy między stanowiskiem kierownictwa obu partii robotniczych w stosunku do drugiego pytania referendum. Mamy też na tym tle takie dziwolągi, jak wynik w departamencie Gers, gdzie wybrano 3 posłów, w tym 1 socjalistę, 1 komunistę i 1MRP, czyli 2 „tak" i 1 „nie". Rezultat referendum na drugie pytanie był jednak inny i większość wyborców odpowiedziała „nie". Innymi słowy socjaliści w Gers głosowali na kandydata socjalistycznego, ale nie posłuchali dyrektyw kierownictwa partyjnego w sprawie referendum. Gdzie indziej jednak było zapewne jeszcze inaczej: dotychczasowi zwolennicy SFIO głosowali na partię komunistyczną. W Marsylii zaś lista zbuntowanych przeciw Blumowi socjalistów nie otrzymała ani jednego mandatu, ale

odciągnęła nieco głosów innym partiom, a ponadto nadszarpnęła poważnie zaufanie do partii w masach robotniczych.

Jest też rzeczą bezsporną, że drugie „tak” przyczyniło się do uzewnętrznienia różnic, istniejących wewnątrz kierowanej wciąż przez Bluma partii i napewno odbiło się dla niej ujemnie na wynikach wyborczych.

Odpowiedź na drugie postawione przez nas pytanie jest bez porównania prostsza. Partia radykalna otrzymała mniej mandatów, niżby to jej przypadało proporcjonalnie według otrzymanych głosów, gdyż zgubiły ją duże niewyzyskane „reszty” w departamentach, wobec braku listy państwowej. I w tym wypadku jednak niewiele by również wygrała. Czemu to przypisać? Poza niewątpliwą dekadencją tej radykalnej z nazwy, a konserwatywnej z treści partii i wyraźnej utraty głosów na rzecz coraz bardziej „inteligenckiej” SFIO, odegrał rolę czynnik nowy, we Francji dotychczas nieznany: prawo wyborcze kobiet. Słusznie podnosi ten fakt „La Dépeche de Paris”, gdyż w tej warstwie społecznej, na której bazowali radykałowie, tj. drobnoburżuazji miejskiej i wiejskiej, wpływ kościoła, a więc i MRP na kobiety jest bez porównania większy, niż na mężczyzn.

Sukces MRP nie polega jednak w istocie na tym fakcie, odegrał on bowiem w całości zagadnienia rolę drugorzędną. Istotne podstawy sukcesu stronnictwa republikańsko-ludowego tkwią w poparciu go przez elementy reakcyjne. MRP zdobywał mandaty w tych departamentach, które jeszcze w czasie niedawnych wyborów kantonalnych miały zdecydowaną większość reakcyjną. Nie jest dziełem przypadku, że stare partie prawicowe spadły z 30 proc. mandatów w 1936 r. na niespełna 14 proc. Zwolennicy partii prawicowych nie głosowali, rzecz prosta, na komunistów czy socjalistów, ale śmieszne byłoby sądzić, że zradykalizowali się na tyle w ciągu ostatnich kilku tygodni, by przejść istotnie na stanowisko reform, głoszonych przez francuskich chrześcijańskich demokratów. Poparli oni MRP, bo już w czasie wyborów miejskich i kantonalnych pokazało się, że jest to jedyna poważna siła, która może przeciwstawić się coraz większemu naporowi lewicy. Reakcja wolała się skupić pod sztandarem MRP, niż w rozsypce przegrać całkowicie wybory.

Powstaje też teraz pytanie: czy kierownicy MRP pozostaną wierni swym hasłom umiarkowanych reform społecznych, czy też spełnią nadzieje głosującej na nich reakcji.

Pytanie to zadawać sobie muszą i obie partie lewicowe, rozstrzygając przy sposobności, co jest korzystniejsze: starać

się oderwać MRP od reakcji przez wciągnięcie go do wspólnego bloku rządowego, czy pójść na większą rozgrywkę i zepchnąć go do opozycji.

Komuniści, konsekwentnie dążąc do organicznej jedności z partią socjalistyczną, nie przewidywali początkowo innej kombinacji rządowej, jak lewicową, złożoną z dwu partii. Zmienili swe stanowisko głównie pod naciskiem SFIO, która od pierwszej chwili kładzie nacisk na porozumienie „trójpartyjne". Właściwa trudność polega jednak na głębokich i istotnych różnicach między postawą partii socjalistycznej i komunistycznej wobec wielu problemów państwowych. Gdyby udało się je przełamać, znaczenie MRP ustaliłoby się jako drugorzędne, jeżeli nie — zdezorganizować to może całe życie polityczne Francji i odciągnąć oczekiwaną z dawna przebudowę w duchu uchwał Narodowej Rady Oporu.

Rozstrzygnięcie tej sprawy może być pouczające nie tylko dla Francji.

Dr ST. A. MAJEWSKI

Dialektyka i ważniejsze jej postacie

Artykuł ten zajmuje się zagadnieniem specjalnym, które, zdawałoby się, interesuje tylko filozofów — mianowicie istotą myślenia i wzajemnym stosunkiem myśli i bytu. Jest to jednak zagadnienie kapitalne, które musi interesować każdego człowieka myślącego, bo każdy człowiek myślący jest w pewnym stopniu filozofem.

* * *

W naszym języku potocznym i literackim wyraz „dialektyka" ma sens podwójny: oznacza on jednocześnie i mistrzostwo w myśleniu i zarazem akrobatykę czy nawet kuglarstwo myśli. To dwojakie wartościowanie najdobitniej występuje w znanym sloganie: dialektyk potrafi wszystkiego dowieść. Pejoratywny sens pewnych wyrażeń pochodzi przeważnie z ludzkiej, arcyludzkiej skłonności do nadużywania rzeczy lub czynności tymi wyrażeniami oznaczonych. Jeżeli te rzeczy lub czynności występują często w życiu społecznym, powstają dwa wyrazy odrębne, określające te dwa sensy: nadużywanie demokracji np. określa się jako demagogię, nieumiejętnie wyko-

nywaną sztukę pisarską piętnuje się jako grafomanię itp. Dla partacko lub uczciwie stosowanej dialektyki nie ma ani u nas, ani, o ile mi wiadomo, w żadnym języku europejskim odrębnych określeń. Nie dlatego że dialektyka jest rzadką i tylko wyjątkowo stosowaną formą myślenia. — Wręcz przeciwnie, zupełnie przez zawodowych logików i filozofów bagatelizowana dialektyka stanowi niejako samo jądro myślenia — ale właśnie czynności najpospolitsze, najczęstsze wchodzą w stadium zupełnie jasnej samoświadomości najtrudniej i najpóźniej. Umysł ludzki chwyta w świecie zjawisk przede wszystkim to, co niezwykłe i cudowne, a nad sprawami pospolitymi prześlizguje się bezwiednie, choć one właśnie, a nie niezwykłość i cudowność, stanowią istotną treść bytu. Więc nie dialektyka jako forma myślenia jest zjawiskiem rzadkim, ale świadome jej stosowanie, znajomość jej zasięgu i fundamentalnego znaczenia oraz — co z naciskiem powiedzieć trzeba — jej właściwe wartościowanie. To zaś ma przyczynę całkiem specjalną. Oto, jak wiadomo, socjalizm tzw. naukowy, jako systemat myśli, począwszy od Engelsa i Marxa stosuje konsekwentnie dialektykę jako metodę myślenia i badania. Można powiedzieć, że dopiero w socjalizmie, i to we wszystkich bez wyjątku jego odmianach, doszła ona do samoświadomości społecznej. Socjalizm stał się „fatalną siłą” dialektyki. Dzięki niemu utraciła ona charakter ezoterycznej wiedzy tajemnej *). Ale historyczne i bynajmniej nie przypadkowe sprzęgnięcie dialektyki ze społecznymi i rewolucyjnymi ruchami proletariatu europejskiego było wystarczającym powodem dla „oficjalnej” nauki, aby ją zakwalifikować jaki p o l i t i c u m, niegodne figurowania w spisach wykładów uniwersyteckich i podręcznikach logiki. Jedni przedstawiciele „oficjalnej” nauki dla świętego spokoju unikają drażliwych i niebezpiecznych — choć doniosłych dla życia — zagadnień, inni stosują znany w walce poglądów chwyt uśmiercania niewygodnych problemów przez ich konsekwentne przemilczanie. Słowem, dialektyka stała się przysłowiową czerwoną płachtą i zdziwienie niejednego statecznego obywatela wobec oświadczenia, że i on myśląc uprawia dialektykę, nie będzie zapewne mniejsze aniżeli Molierowskiego Monsieur Jourdan który szeroko otworzył oczy, dowiedziawszy się, że i on codziennie mówi prozą.

---

*) Przecież do połowy XIX w. stan rzeczy był taki, że Hegel — pierwszy myśliciel nowożytny, który ją z całą świadomością stosował (i w pewnym sensie co prawda nadużywał) — powiedział, że miał właściwie tylko jednego ucznia i że ten... jej nie rozumiał, a Heraklitowi z Efezu, jego antycznemu poprzednikowi, historia przyczepiła etykietę „Ciemnego”.

* * *

Dialektyka jako forma myślenia występuje pod różnymi postaciami w życiu społecznym i historii; ma ona bowiem, jak się rozumie, i swoją własną historię. Najpospolitszą dzisiaj i najdawniejszą zarazem jej postacią jest **negatywna i niezupełna dialektyka:** znajduje ona dla każdej wypowiedzi, powszechnie przyjętej jako niesporna prawda, inną, sprzeczną z nią i uchodzącą za niemniej prawdziwą. Ta postać dialektyki, stosowana konsekwentnie jako metoda myślenia, dochodzi do zasadniczego relatywizmu *) i sceptycyzmu w poglądzie na świat oraz do subiektywnej a nawet nihilistycznej postawy wobec życia. Sceptyk i subiektywista twierdzi: można powiedzieć tak, można inaczej i wręcz przeciwnie, jak kto woli, jak komu wygodnie, wszystko ostatecznie wychodzi na jedno. Nihilizm zaś uprawia swój proceder pod szumnym hasłem nieograniczonego prawa jednostki do „wyżywania się", jak to było np. w okresie Odrodzenia, albo maskuje się hałaśliwą frazeologią „sztuki dla sztuki", „nagiego życia", jak to czynił u nas np. tzw. dekadentyzm cyganerii literackiej w okresie f i n d e s i e c l e' u. Ten to nihilizm przyczynił sę do tego, że do końca w. XIX potępiano w czambuł dialektykę negatywną i jej pierwszych mistrzów — starożytnych sofistów. Dopiero z początkiem naszego wieku, pod wpływem anglo-amerykańskich pragmatystów, szczególnie dzięki angielskiemu filozofowi F. C. Schillerowi, nastąpiła rehabilitacja sofistów i tym samym dialektyki negatywnej. Historyczna rola dialektyki negatywnej jest istotnie burzycielska, podkopuje się ona pod najbardziej uświęcone prawdy, szarga bluźnierczo świętości i niemiłosiernie drwi ze wszystkich Absolutów pisanych wielką literą. Odkąd jednak społeczeństwa europejskie uświadomiły sobie tę niewątpliwą a zarazem melancholijną prawdę, że wszystko w życiu rozwijając się przemija, musiały one — z tej wyższej warty — uznać i pozytywną wartość pracy burzycielskiej. Ileż to instytucji a jeszcze więcej poglądów i zwyczajów kostnieje, pozostaje w tyle za zmienioną gruntownie rzeczywistością i staje się kulą u nogi w dążeniu człowieka do życia nie tylko rozsądnego, ale i moralnego? Bliższe przyjrzenie się zresztą tzw. Wiekowi Oświecenia — w przeciwieństwie do sofistyki na ogół wysoko cenionemu—pokazało, że i on, jak jego poprzednik w V wieku przed Chr., stosował dialektykę negatywną ,w której mistrzem nieprześcignionym był Voltaire.

---

*) Dla uniknięcia nieporozumienia zaznaczyć należy, że mamy tutaj na myśli relatywizm w sensie pospolitym, a nie fizykalnym, o którym wspomina się dalej w tym artykule.

Ale dialektyka negatywna niewątpliwie dochodzi do absurdu. Zasadniczy sceptycyzm i subiektywizm jest takim samym nonsensem jak np. wypowiedź „Ja zawsze kłamię" Roszczenia jego, że nie ma prawd powszechnie obowiązujących nawet czasowo, w sensie historycznym są zupełnie arbitralne, niemniej, sprzeczne w sobie aniżeli te, które w imię tych roszczeń swoich odrzuca: bo przynajmniej prawdą taką są jego własne roszczenia, albo to słynne powiedzenie Heraklita o powszechnym przemijaniu, które Marx sparafrazował dialektycznie, mówiąc, że absolutna i wieczna jest tylko śmierć — mors immortalis. Trzeba było więc szukać jakiegoś uzupełnienia do schematu dialektyki negatywnej. Sokrates i Plato byli przeświadczeni, że to uzupełnienie znaleźli w świecie absolutnych, wiecznych i zawsze prawdziwych idei. Obaj ci filozofowie stosowali nadal dialektykę negatywną niezupełną, bo innej nie znali — ale jej zakres stosowania ograniczyli wyłącznie do dziedziny zjawisk podpadających pod zmysły, widzialnych, słyszalnych i odczutych. Do każdej wypowiedzi, odnoszącej się do prawd stwierdzanych przy pomocy naszych zmysłów cielesnych, można — wedle nich — rzeczywiście znaleźć inną prawdę sprzeczną z nią i równie uzasadnioną. Z tego wysnuli oni wniosek, że ‚prawdziwą" prawdę można ująć tylko niezmysłowo czy nadzmysłowo, przez czysto umysłową intuicję. Dlatego Arystoteles postawił kropkę nad „i" i określił dialektykę negatywną jako metodę pozornego dowodzenia, mającą zastosowanie tylko w dziedzinie prawd urojonych. To deprecjonujące określenie dialektyki przetrwało przez całe średniowiecze i czasy nowożytne do końca w. XVIII kiedy znalazło nowe sformułowanie i zastosowanie w filozofii Kanta i jego zwolenników. Także zresztą tzw. deiści z Voltaire'm na czele tak pojmowali rolę dialektyki: była ona dla nich narzędziem umysłowym do burzenia fałszów i zabobonów, natomiast udowadnianie istnienia Bóstwa uważali za niemożliwe i niepotrzebne, w myśl bowiem słynnego powiedzenia Voltare'a, „gdyby idea Boga nie istniała, trzeba by ją wynaleźć jako niezbędną w życiu ludzkim".

Na podobnym stanowisku stoi i współczesna myśl badawcza w poszczególnych dyscyplinach naukowych. Naczelne, najogólniejsze założenia matematyki i fizyki są pewnikami, prawdami oczywistymi, których logicznie uzasadniać nie można, ani nie trzeba. Między stanowiskiem nowoczesnych nauk empirycznych a stanowiskiem platonizmu zachodzą jednak istotne różnice: ich pewniki nie są prawdami absolutnymi i wieczystymi w sensie platońskich idei, ale prawdami tymczasowymi — niejako aż do odwołania; ich siła obowiązująca trwa tak

długo, jak długo można im podporządkować logicznie i niesprzecznie ogół znanych faktów, gdy zaś zachodzą fakty sprzeczne z nimi, konstruuje się nowe pewniki i założenia zgodne z całokształtem znanych i niewątpliwie ustalonych faktów. Pod względem więc stosunku do praw naczelnych współczesne nauki empiryczne są prostą antytezą platońskiego idealizmu, bo nie czysto umysłowe idee są kryteriami prawdy, ale fakty podpadające pod zmysły są sprawdzianami ważności pewników. Także Bergson i jego zwolennicy posługują się tą postacią dialektyki w wykazywaniu sprzeczności logicznych w założeniach i wynikach współczesnych nauk empirycznych. Wykazawszy zaś sprzeczności, Bergson postuluje, że prawdziwy byt („rzeczywistą" rzeczywistość) stanowiący „e l a n v i t a l" ująć można nie za pomocą intelektu, ale przez irracjonalną intuicję, która sama jest tym „elan vital".

W ten sposób dialektyka schodzi we wspomnianych wyżej kierunkach filozoficznych i współczesnych naukach empirycznych do roli narzędzia umysłowego, służącego tylko do wykrywania błędów, czyli prawd pozornych. Określimy tę **postać dialektyki jako pozorną**, zgodnie z tradycją wywodzącą się od Arystotelesa. Jest ona pozorna nie tylko dlatego, że zajmuje się pozorami prawdy, tj. błędami, ale także dlatego, że jest pozornie kompletna. Uznaje ona wprawdzie niewystarczalność dialektyki negatywnej i odrzuca jej roszczenia negujące powszechne prawdy o rzeczywistości, ale rzeczywistość tę i wypowiedzi o niej wyłącza spod kompetencji dialektyki. Ani idee Platona, ani pewniki nowoczesnych nauk nie mogą wedle niej być ujęte dialektycznie; dialektycznie bowiem ująć można tylko to, o czym można jednocześnie powiedzieć i tak i nie, a idee i pewniki nauki muszą z istoty swej być niesprzeczne w sobie. Obie dotychczas omówione postaci dialektyki — negatywną i pozorną — obejmiemy wspólną nazwą d i a l e k t y k f o r m a l n y c h, jako że, ograniczają swoje zastosowanie wyłącznie do dziedziny myśli o bycie, a sam byt pozostawiają poza swoim zasięgiem. Te zaś postaci dialektyki, które nie tylko myśl, ale i samą rzeczywistość (byt) ujmują swym zasięgiem, określimy jako o n t o l o g i c z n e. Omówimy dwie postaci dialektyki ontologicznej: i d e a l i s t y c z n ą — Hegla i m a t e r i a l i s t y c z n ą Engelsa i Marxa.

*

* *

Gdy Heglowi zarzucono, że jego metoda dialektyczna jest w sprzeczności z doświadczeniem, odpowiedział: tym gorzej dla tego doświadczenia...

* * *

Dialektyka formalna wychodziła z założenia, że wszystko, co istnieje nie może być sprzeczne w sobie. To założenie stanowi aksjomat logiki tradycyjnej, tej logiki, której po dziś dzień uczą w szkołach. Otóż Hegel zdobył się na śmiałość graniczącą z zuchwałością: odrzucił ów aksjomat i oświadczył, że wszystko, co jest, każda postać bytu nieustannie się zmienia; wszystko bowiem, co jest, rozwija się, a istotę rozwoju stanowią imanentne sprzeczności. S i m p l e x — s i g i l l u m f a l s i, n e c e s s i t a s u n i t a s. Przed Heglem tę zuchwałą myśl wypowiedział i ów Heraklit z Efezu raz już tutaj wspomniany, ale myśl swoją wyraził w przenośniach, surowych monumentalnych obrazach, z których zachowa.y sę nieliczne fragmenty. Przy ówczesnym stanie myśli i świadomości ludzkiej inne ujęcie zagadnienia było niemożliwe. Był on jednym z tych niezwykłych umysłów, które wyprzedzają dzieje o dziesiątki wieków, i podzielił los wszystkich tych proroków, których głos był głosem wołającego na puszczy; tylko echo własne mu odpowiadało. Dlatego zapewne przeszedł do historii nie tylko jako filozof „ciemny", ale i jako — „płaczący" *). Nauki empiryczne, zwłaszcza najwyżej z nich rozwinięta matematyczna fizyka, raz po raz natrafia na immanentne sprzeczności ujmowanych przez nią jestestw, ale stojąc wytrwale przy klasycznej logice, nie chce i nie może pogodzić się z tym naturalnym i nieuniknionym stanem rzeczy, daremnie sili się dotąd na znalezienie założeń i formuł niesprzecznych w sobie. Tak więc i fizycy współcześni nie zdają sobie sprawy, że i oni uprawiają bezwiednie dialektykę.

Paradoksalność naczelnego założenia filozofii Hegla o immanentnej sprzeczności bytu znika po pobieżnym nawet tylko przyjrzeniu się rzeczywistości. Sprobujmy to zrobić.

Oto prawo — dziedzina życia szczególnie wysoko ceniąca ścisłość i niesprzeczność. Podstawowym problemem w tej kwestii jest wzajemny stosunek siły i prawa, jaki on jest w rzeczywistości i jaki być powinien normatywnie. Na każdym niemal kroku doświadczenie (jakże bolesne!) drwi z naszych wymagań etycznych i pokazuje, że siła jest przed prawem. Ale to samo doświadczenie jakby na osłodę powtarza nam codziennie tę niewątpliwą prawdę, że żadna rzeczywistość społeczna nie jest możliwa bez praworządności. Co więcej, doświadczenie dziejowe uczy nas, że siła w znaczeniu społecznym tego słowa

---

*) Nie jest zapewne przypadkiem, że jednym z autorów, którzy najlepiej pojęli Heraklita był nie kto inny, jak Ferdynand Lasalle (*Heraklit derDunkle)*

sama się unicestwia, gdy wyzbywa się gruntownie wszelkich norm prawnych; dlatego tak krótki i niesławny był dotąd żywot wszelkich systemów politycznych opartych na brutalnym terrorze; trywialny slogan mówi, że na bagnetach siedzieć nie można. Jeżeli jakiś system polityczny nie może się zdobyc na ścisłe określenia normujące, co jest zakazane pod groźbą kary, strach przed karą przestaje być skuteczny, nawet jeżeli to ma być kara śmierci. Jeżeli niewiadomo czego robić nie wolno, to robi się wszystko. Zdawałoby się, że przynajmniej absolutna praworządność jest niewątpliwie dobrem bez skazy, ale i tu wchodzą nam w paradę starożytni rzymscy legiści (na których w tej mierze, jak wiadomo, można śmiało polegać) i... dialektycznie ostrzegają: s u m m u m i u s — s u m m a i n i u r i a. Tak to jednostki i narody miotają się bezwiednie między stanem niewolniczego korzenia się przed brutalnym gwałtem i niewypowiedzianą pogardą dla jego nieludzkich metod a tęsknotą za nieziemską absolutną praworządnością i cichym lękiem przed jej doskonałością. Najwyższy gwałt, unicestwiając sam siebie, przechodzi w samowolę będącą absolutną wolnością, a najwyższa absolutna konsekwentna praworządność przeradza się w gwałt. Taka jest dialektyczna rzeczywistość życia politycznego i prawa.

* * *

Z dziedziny stosunków prawnych przejdźmy na szerszy teren stosunków społecznych w ogóle. Tutaj zasadniczym zagadnieniem jest wzajemny stosunek jednostki i społeczeństwa. Jednostka ludzka jest jedyną realną istnością, bo nie ma w rzeczywistości faktycznie istniejącego organizmu zbiorowego ani świadomości kolektywnej. To, co określamy mianem „naród", „społeczeństwo", „klasa", to tylko abstrakcyjne uogólnienie werbalne wzajemnych stosunków między jednostkami i zbiorową nazwą działalności jednostek i wytworów ich działalności. „Społeczeństwo" jest określeniem zbiorowym dla mniejszego lub większego skupienia ludzi, jak las jest takim określeniem dla większego lub mniejszego skupienia drzew. Wszystko inne, co mówimy o społeczeństwie, to mistyka lub mistyfikacja. Oto wywód krańcowego indywidualisty. Na podstawie tego wywodu domaga się on nieograniczonych praw dla jednostki w dziedzinie życia gospodarczego, prawnego, moralnego, przekonań politycznych i religijnych, włącznie z prawem jednostki do występowania nie tylko z określonej społeczności, w której przypadkowo przyszedł na świat, ale ze wszelkiej społeczności w ogóle. Na początku bowiem, według indywidualisty, była jednostka, i każdemu człowiekowi przysługuje przyrodzone prawo

powrotu w każdej chwili do raju utraconego, którego piewcą stał się Daniel Defoe. Ale ten zręczny autor, wyssawszy z palca „Robinsona”, jakiego nigdy żywym i rzeczywistym nasza stara ziemia nie widziała, prędko się reflektuje i dodaje mu towarzysza Piętaszka. Z kim bowiem rozmawiałby Robinson, gdyby nie było Piętaszka, i jakby myślał, gdyby nie miał mowy? Nawet Sam Wiekuisty, ulepiwszy Adama z gliny, prędko spostrzegł, że popełnił błąd i natychmiast, na poczekaniu i niejako improwizując powołał do życia Ewę, ...aby pierwszy człowiek miał się z kim kłócić. Socjologizm natomiast krańcowy widzi tylko las, a nie dostrzega drzew. Jeżeli nawet nie przyjmuje mistycznego istnienia Duchów czy Dusz Narodów w sensie dosłownym, jak to czyni Hegel, to w każdym razie podkreśla fakt gęstnienia i wzmacniania się z rozwojem kultury więzi społecznych, wśród których jednostka miota się jak mucha w sieci pajęczej, bez możności wyplątania się, skazana na całopalenie dla tego nowoczesnego Molocha, któremu na imię naród, czy społeczeństwo. Ale całkowite odmówienie jednostkom prawa do własnego życia w dziedzinie gospodarczej, prawnej, moralnej, politycznej i religijnej — to pozbawienie społeczeństwa świadomości w ogóle i przekształcenie go w społeczność bezwiednie, automatycznie żyjącą i działajcą jak skupisko mrówek lub termitów. Między krańcowym indywidualizmem a krańcowym socjologizmem, jak między dwoma biegunami wahają się pragnienia, myśli i czyny współczesnego człowieka, bez możności bodaj zatrzymania się chwilowo na jednym z nich. Bieguny te bowiem są fikcyjnymi wytworami abstrakcyjnej myśli ludzkiej, konkretna zaś rzeczywistość jest nierozerwalną syntezą dwóch przeciwstawień, których miana — jednostka i społeczeństwo.

Rzućmy okiem na dziedzinę sztuki. Tutaj zasadniczy problem — to wzajemny stosunek formy i treści, przeciwstawność i zgodność zarazem obu tych podstawowych żywiołów każdego dzieła sztuki. W nadmiarze treści tonie i rozpływa się „właściwy” artyzm: obraz, rzeźba, dzieło muzyczne, utwór literacki staje się anegdotą, kroniką ilustrującą, traktatem dydaktycznym, lub po prostu — jak to miało miejsce z rzeźbą średniowiecza — biblią p a u p e r u m. Stąd, szczególnie od w. XIX począwszy, coraz radykalniejsza negacja treści w dziele sztuki jako elementu pozaartystycznego, który z artyzmem nie ma nic wspólnego. Tak to np. malarstwo stopniowo ale crescendo negując treść, dochodzi poprzez kult prymitywów, kolorystykę, symbolizm, impresjonizm, ekspresjonizm, do najbardziej radykalnej jego odmiany, do kubizmu, który pragnie uchodzić za

czysty, absolutny formizm. Ale żaden kierunek malarstwa nie wyprodukował tylu bezwartościowych bohomazów absolutnie pozbawionych wszelkich śladów piękna i zupełnie niestrawnych dla odbiorców sztuki, co ów formizm absolutny, pragnący uchodzić za czyste piękno. Radykalna negacja treści w dziełach sztuki prowadzi do samounicestwienia artyzmu, nadmierny ładunek treści rozsadza formę i wchłania w siebie piękno. Prawdziwe dzieło sztuki jest syntezą przeciwstawnych, skłóconych ze sobą żywiołów, którym na imię tu — treść, tam — forma.

Z tych niebosiężnych szczytów czystego piękna zejdźmy na bardziej pewny grunt materii, energii, ruchu i przyjrzyjmy się pobieżnie problematyce współczesnej fizyki. Galilei i Newton zakładali tzw. układ inercjalny, w którym ciało porusza się po linii prostej z szybkością jednostajną. Fizyka przedrelatywistyczna nie mało miała kłopotu z tym ruchem: nie tylko bowiem nigdzie w doświadczeniu takiego ruchu jednostajnie szybkiego po linii prostej nie ma, ale jest on w ogóle fikcją czysto fizykalnie niemożliwą. Ruch bowiem taki mógłby istnieć tylko wówczas, gdyby ciało poruszające się takim ruchem było absolutnie samo; tam bowiem, gdzie istnieją dwa ciała, zachodzi między nimi ciążenie, a w układzie grawitacyjnym ruch prostolinijny i jednostajnie prędki jest niemożliwy. A ponieważ jednocześnie fizyka zakłada, że ciążenie jest własnością każdego ciała, w układzie inercjalnym musiałoby istnieć ciało nieciążące, i tak dalej w kółko, z jednej sprzeczności wpadalibyśmy w drugą. A jednak, mimo tych sprzeczności — a dialektyka powie właśnie: dzięki tym sprzecznościom — klasyczna teoria mechaniki w dużym zasięgu ujęła adekwantnie ruchy ciał niebieskich. Fizyka relatywistyczna, rozszerzając zasięg faktów, usunęła wprawdzie antytezę „inercja-grawitacja", ale wprowadziła nową syntezę przeciwieństw jeszcze bardziej fundamentalnych — w pojęciu czaso-przestrzeni. W dziedzinie mikrofizyki podobną zasadniczą syntezę sprzecznych przeciwstawień stanowi teoria światła. Teoria ta występuje, jak wiadomo, pod dwiema postaciami: jako teoria korpuskularna i jako teoria ondulacyjna, z których żadna nie może sama objąć całokształtu faktów. Fizyka współczesna pogodzić się musi z tym, że wyniki tej dwupostaciowej teorii światła prowadzą do poglądu na istotę materii jako złożonej z ciałek, które jednocześnie są faleczkami, choć pojęcie takiego ciała jest fizykalną antynomią. „Przez lat piętnaście co najmniej używaliśmy — żali się A. Edington *) —

*) Nowe Oblicze Natury — Warszawa 1934, str. 181.

praw klasycznych i kwantowych współrzędnie, pomimo że nie dają się one pogodzić. W modelu atomu zakładało się, że elektrony przebiegają swe orbity według praw elektrodynamiki klasycznej; lecz z jednej orbity na drugą przeskakują one w sposób całkowicie niezgodny z tymi prawami. Energię orbit atomu wodoru obliczamy według praw klasycznych; lecz jednym z celów tego rachunku jest skontrolowanie, że energia i okres kojarzą się w jednostkę działania, co znowu jest sprzeczne z klasycznymi prawami promieniowania. C a ł e t o p o s t ę p o w a n i e j e s t j a s k r a w o s p r z e c z n e, l e c z j a w n i e o w o c n e.

Tak doświadczenie, zawarte we wszystkich dziedzinach nauki, niewątpliwie potwierdza słuszność owego na pozór paradoksalnego poglądu, który zakłada, że każda forma bytu jest syntezą przeciwstawnych ale zarazem od siebie nieodłącznych elementów. Pogląd ten jest jednoznaczny z innym, również zasadniczym, wedle którego każda forma bytu znajduje się w nieustannym rozwoju, który sam jest również syntezą, i to najbardziej zasadniczą dwóch przeciwstawień, mianowicie — wzrastania i przemijania. W dialektyce kompletnej ontologicznej ów proces rozwoju stał się świadom samego siebie.

*

* *

Marx, zapytany o swój stosunek do dialektyki Hegla, powiedział: „Hegel w rozmachu dialektycznym postawił świat do góry nogami”...

*

* *

Krótko mówiąc, Hegel odkrył, że nie tylko myśli ale i rzeczy mają logikę, oraz że ta logika rzeczy jest zgoła inna aniżeli klasyczna logika myśli wywodząca się od Arystotelesa i uchodząca za nieomylny kanon. Ale z tego pod każdym względem przełomowego odkrycia wysunął on wniosek następujący, skoro wszystko, co istnieje; instytucje prawa, dzieła sztuki, nauka, filozofia, narody i ludzkość cała rozwijają się podług pewnej logiki, to z tego wynika, że wszystko, co jest, jest w istocie swojej myślą, albowiem cóż innego aniżeli myśl może posiadać logikę? Zatem każda forma bytu jest w istocie swojej myślą absolutną, albo mówiąc krótko — Absolutem. Natomiast świat namacalny rzeczywistości, tej mianowicie, która podpada nam

pod zmysły, jest według Hegla tylko zewnętrznym objawem myśli, jej mało ważną materializacją i raczej pozornie tylko jest rzeczywisty; naukę, która zajmuje się tą pozorną rzeczywistością świata zmysłowego, nazywa Hegel fenomenologią. Tak to Hegel, długo krążąc, ostatecznie wraca do stanowiska idealizmu platońskiego. Zdematerializowawszy w logicznym rozpędzie cały świat, zamienia naszą twardą materialną rzeczywistość w duchów najczystszych obcowanie. Tę to dematerializację świata postulowaną przez Hegla odrzucili Engels i Marx. Stanęli oni na stanowisku, że właśnie ta wzgardzona przez Hegla rzeczywistość, podpadająca pod zmysły, rozwija się zgodnie z zasadami logiki dialektycznej. I dla radykalnego odcięcia się od Heglowskiego idealizmu określili swoje stanowisko jako materializm, a dialektykę, stosowaną przez siebie, w istocie swej przyjętą przez Hegla, określili jako dialektykę materialistyczną. W związku z tym stosunek Engelsa i Marxa do nauk empirycznych jest zasadniczo inny aniżeli Hegla: w przeciwieństwie do niego uważają oni te nauki za główne źródło wiedzy a filozofii przyznają tylko prawo krytyki wobec metod i zdobyczy nauki, krytyki przeprowadzonej z wyższej warty, niedostępnej dla poszczególnych dyscyplin naukowych *). Z tego samego empirycznego stanowiska Marx i Engels odrzucają filozofię historii Hegla, zastępując ją socjologią jako nauką o formach i strukturach społecznych. A ponieważ te struktury społeczne ujmują nie tylko opisowo i statycznie, ale w ich dynamice i rozwoju historycznym, określają swój materializm jako historyczny. Materializm jednak Marxa ma jeszcze inny sens — oto oznacza on, że fundament struktur społecznych stanowią narzędzia i sposoby produkcji dóbr ekonomicznych.

Engels i Marx, przyjąwszy od Hegla dialektykę w takiej formie jaką on jej nadał, mało zajmują się nią abstrakcyjnie, ale konsekwentnie ujmują przy jej pomocy empiryczną rzeczywistość, ze szczególnym mistrzostwem stosują ją w dziedzinie zjawisk gospodarczych, społecznych i politycznych. Dowolny fragment z ich pism może służyć jako ilustracja tej dialektyki materialistycznej. Przytoczymy kilka takich fragmentów, wybranych na chybił-trafił. „Społeczne stosunki ściśle przeplatają się i wiążą z siłami produkcyjnymi. Jednocześnie ze zdobyciem nowych sił produkcji ludzie zmieniają i swoje sposoby produkowania, a zmieniwszy sposoby produkowania, czyli sposoby zdobywania środków do życia, zmieniają też swoje stosunki

---

*) Stanowisko zajęte przez Engelsa i Marxa wobec rzeczywistości i nauk empirycznych określa się dzisiaj jako empirio-krytycyzm.

społeczne. Ręczny młyn rodzi społeczeństwo feudalnych właścicieli, a młyn parowy—społeczeństwo kapitalistów przemysłowych. I ci sami ludzie, którzy kształtują swoje społeczne stosunki odpowiednio do swojego materialnego sposobu produkowania, kształtują także i wszystkie swoje zasady idee i kategorie odpowiednio do swoich stosunków społecznych". (Marx, Nędza Filozofii, rozdz. II, par. 1).

„W konkretnych słowach żywego świata myśli, jakimi są prawo, państwo, przyroda, cała filozofia... należy obserwować sam przedmiot w jego rozwoju, przy czym nie wolno tutaj wprowadzać dowolnych podziałów, sam rozum rzeczy winien się rozwijać jako coś, co składa się z przeciwieństw i znajduje w sobie jedność". (Tamże, rozdz. II, par. 2).

W roku 1843 pisali Engels i Marx w Reńskiej Gazecie: „Nie występujemy wobec świata jako doktrynerzy z gotową nową zasadą i mówiąc: — Oto jest prawda — klękajcie narody! Rozwijamy przed światem nowe zasady wynikające z jego własnych założeń. My nie mówimy światu: przestań walczyć, — cała twoja walka daremna, — ale rzucamy mu prawdziwe hasło walki. My tylko pokazujemy światu, o co on właściwie walczy, a świadomość tego, o co walczy, musi on sobie przyswoić czy tego chce, czy nie. Reforma poznania polega na tym, że świat staje się świadom siebie samego, że rozpraszają się miraże i że jasno sobie zdaje sprawę, co zamierza i ku czemu dąży".

We wstępie do drugiego wydania „Kapitału" pisze Marx: „Dialektyka afirmuje to, co istnieje, ale jednocześnie to neguje i widzi nieodzowność jego przeminięcia, albowiem wszystko, co istnieje, dialektyka ujmuje dynamicznie, jako zjawisko przemijające". W manifeście komunistycznym można czytać: „Mieszczaństwo nie może egzystować nie rewolucjonizując nieustannie narzędzi produkcji i, co za tym idzie, sposobów produkcji, a dalej wszystkich stosunków społecznych. Odwrotnie — warunkiem długiego żywota jakiejś klasy jest zachowanie narzędzi produkcji w niezmienionej postaci. Nieustanny przewrót produkcji, nieprzerwane wstrząsy we wszystkich stosunkach społecznych, wieczna niepewność i nieustający ruch odróżniają epokę mieszczaństwa od wszystkich innych poprzednich. Wszystkie pokryte patyną wieków stosunki społeczne i towarzyszące tym stosunkom mętne, przestarzałe wyobrażenia i poglądy rozpadają się; a nowo tworzące się starzeją prędzej jeszcze nim zdążą okrzepnąć. Wszystko, co skostniało w kastowość, rozprasza się; wszystko, co święte traci świętość, a ludzie

w końcu zmuszeni są trzeźwymi oczyma spojrzeć na swe położenie i swoje wzajemne stosunki społeczne".

*

* *

Czas podsumować wywody. Omówiliśmy pobieżnie cztery najważniejsze postaci dialektyki: dwie niekompletne i dwie kompletne. Niekompletne składają się z dwóch tylko twierdzeń; z afirmacji i negacji; kompletna składa się z trzech twierdzeń: z afirmacji, negacji i negacji tej negacji, czyli ponownej, wzmocnionej afirmacji. Niekompletna dialektyka nie umie wyjść poza antytezę, dlatego jest ona albo negatywna albo pozornie pozytywna; kompletna przezwycięża antytezę za pomocą syntezy, która zawiera w sobie pierwotną afirmację i pierwotną negację jako momenty sobie podporządkowane. Negatywna i pozorna dialektyka była znana i stosowana w starożytności, w wiekach średnich i nowożytnych do końca XVIII w. Opierała się ona na tradycyjnej logice klasycznej i sama, jak ta logika jest czysto formalna, ponieważ odnosi się tylko do form myśli. Dialektyka kompletna opiera się na nowej logice, zapoczątkowanej przez Hegla, która do dzisiaj nie została skodyfikowana; logika odnosi się zarówno do rzeczy jak i do myśli, dlatego i ona i opierająca się na niej dialektyka ma charakter ontologiczny. Dialektyka ta ujmuje rzeczy nie statycznie ale dynamicznie, w nigdy nie ustającym procesie rozwoju, który kolejno przechodzi przez stadium powstawania, przemijania i ponownego powstawania w doskonalszej postaci. Dialektyka ontologiczna jest czymś więcej niż myślowym wizerunkiem procesu rozwoju; jest ona jego świadomością siebie. Myślenie dialektyczne jest obiektywne w najgłębszym tego słowa znaczeniu: nie subiektywny umysł człowieka myśli, ale sama rzeczywistość myśli, która w umyśle człowieka staje się świadoma siebie. Nie jest rzeczą przypadku, że jej narodziny zbiegły się chronologicznie z pojawieniem się ruchu społecznego, który na swych sztandarach bojowych wypisał hasła gruntownej przebudowy społeczeństw i stworzenia nowej cywilizacji. Godne uwagi jest również, że pierwsi teoretycy ruchu przyswoili i potem konsekwentnie stosowali dialektykę, aczkolwiek jest ona jawnie sprzeczna z kanonem logiki klasycznej, która dziś jeszcze uchodzi przeważnie za ostateczny bezapelacyjny sprawdzian sensowności Zjawienie się logiki dialektycznej oznacza przełom tak gruntowny w myśleniu i w postawie praktycznej człowieka, że wobec niego bledną wszystkie przełomy, które dochowały się dotąd w cywilizacji europejskiej.

EWA PRAUSS

Historia a polityka

Stoimy na wielkim zakręcie historycznym. Zmiany, jakie przeżywa naród mogą być bardzo zasadnicze, czynić on może obroty nawet o 180^0, łuk jednak obrotu musi być dostatecznie łagodny, o ile nie ma wywołać zbyt wielkich wstrząsów. Gwarancją dla narodu, iż wstrząsy tego rodzaju nie nastąpią, jest dobre zrozumienie przeszłości i mądre rzutowanie w przyszłość.

Oprócz trzeźwości spojrzenia, prawidłowej analizy sytuacji, braku tendencji do walenia głową w mury nie do przebycia, jednym słowem: oprócz dobrego zrozumienia bieżącej sytuacji politycznej konieczna jest długofalowość polityki. Polityka bowiem nie jest tylko taktyką i naród, który nie posiada zdolności przewidywania, nie zna samego siebie, nie posiada zdrowych podstaw istnienia. Zdolność przewidywania zaś opiera się na analizie sił społecznych w ramach narodu i w ramach międzynarodowych oraz na wytyczeniu tendencji rozwojowych. Analiza nie może rzeczy ani zbytnio npraszczać, ani zbyt komplikować. Metoda, jaką się tu posługujemy, powinna być z konieczności schematyczna, życie narodów jest jednak tak zawiłym kompleksem kulturowym, że gdy przystępujemy do rozwiązania poszczególnych zagadnień, potrzebne jest wżycie się w zespół kulturowy, w którym się operuje. I tu znajduje swoje miejsce i rolę kultura historyczna.

Kultura historyczna sprawia, iż rzeczy najbardziej nowe, tworzone przez ludzi związanych z przeszłością narodu, tkwią mocno korzeniami w glebie, z której wyrosły, a nie zostają jedynie naniesione jak namuł w czasie wylewu. Są zdrowe i trwałe. Dziś w dobie nowych perspektyw waga podniesienia kultury historycznej odgrywa więc szczególną rolę. Historia nie ma być zbiorem czarujących bajeczek wypychających „aż do pęknięcia" pierś dumą narodową, ani zbiorem anegdot. Musi ona dotrzeć do najważniejszych, najistotniejszych spraw narodowego bytu, osiągnąć syntezy w gabinetach uczonych i wyjść z tych gabinetów szeroko w społeczeństwo, odpowiednio rozumna, odpowiedzialna i dojrzała. Lecz na to przede wszystkim potrzebny jest w naszych warunkach ogrom pracy naukowej. Zagadnienia czekają na opracowania. A opracowanie musi mieć swoje narzędzie, którym jest źródło historyczne.

1. SPRAWA ARCHIWÓW.

Podstawową więc kwestią jest w tej dziedzinie pracy stan archiwów w Polsce. Stan ten, trzeba to powiedzieć, jest opłakany. Złożyły się na niego burze, które miotały naszym krajem nie tylko w czasie ostatniej wojny. Źródła do dziejów naszych rozproszone są po różnych zakątkach Europy. Ogromna ich liczba została zniszczona dawniej, ostatnia wojna i powstanie warszawskie dopełniły zniszczenia. Pozostałe, będące w naszym posiadaniu, są rozrzucone przez losy często w najbardziej fantastyczny sposób. Im mniejsze jest jednak nasze bogactwo, tym lepiej musimy je wyzyskać.

Na czoło wysuwa się tu parę zagadnień:

1) Rewindykacja archiwów pozostających w rękach Niemców.

2) Dostateczne zabezpieczenie archiwów, będących w naszym posiadaniu.

3) Odpowiednia organizacja i jak najszersze udostępnienie materiału archiwalnego.

4) Wydawanie źródeł.

5) Zbieranie materiału z ostatniego okresu.

Pierwsze punkty nie wymagają wielu komentarzy. Jest sprawą Wydziału Archiwów Państwowych jak najlepsze przeprowadzenie rewindykacji i zabezpieczenia, w czym pomóc powinno społeczeństwo. Co do punktu trzeciego, oto parę uwag:

Odpowiednia organizacja archiwów nie jest rzeczą łatwą. Zbiory archiwalne tworzą na ogół szereg **zespołów**, z których każdy jest wytworem pracy jakiegoś urzędu z przeszłości. Akta takiego zespołu stanowią więc powiązaną wewnętrznie całość, tak jak powiązaną była praca owego urzędu. Rozbicie takiego zespołu pomiędzy poszczególne archiwa, które często nastąpiło drogą losów niosących akty, niesłychanie utrudnia pracę badacza. Każdy akt powinien zająć miejsce w tym zaspole, w którym się znajdował, gdy urząd, do którego należał, miał swoją registraturę (podręczne „archiwum" akt) w ramach zespołu, takie miejsce, jakie zajmował w swoim czasie w owej registraturze.

W tej chwili nie tylko jest nam daleko do tego ideału. Stan niektórych materiałów jest rozpaczliwy. Znajdują się one w takim rozproszeniu i chaosie, że wymagają rozciągniętej w czasie mrówczej pracy wielu archiwistów, ażeby zostały doprowadzone do porządku. Dostateczne udostępnienie materiału do badań jest śpiewem dalekiej przyszłości, w czasie której może przyjść następny kataklizm niszczący wszystko do reszty. Co robić?

Przede wszystkim stworzyć warunki, w których gorsze nawet rozpracowanie archiwalne materiału umożliwi pracę badacza.

Pewnym panaceum jest tu centralizacja archiwów. Staje się wtedy możliwa centralizacja rozbitych pomiędzy archiwa zespołów. Ułatwiona jest dzięki temu praca przy ich porządkowaniu.

Z kół archiwistów wyszedł tego rodzaju projekt. Proponowano umieszczenie owego centralnego archiwum w Ursynowie — Wilanowie. Projekt ten upadł na skutek przeznaczenia pałacu wilanowskiego na muzeum, które to rozwiązanie należy uznać za słuszniejsze. Tym niemniej sprawa centralizacji archiwów pozostaje otwarta i **musi** być rozwiązana.

Archiwum Centralne powinno obejmować akty instytucji centralnych. Akta instytucji prowincjonalnych związane są z prowincjami, do których należą i nie powinny wędrować do centrali. Racjonalnym wyjściem byłoby tworzenie prowincjonalnych central archiwalnych wojewódzkich — archiwów wojewódzkich. Dałoby to te same korzyści, które wyliczono już poprzednio.

Poza tym w nowoczesnych badaniach wysuwają się na czoło sprawy gospodarcze i społeczne. Najważniejsze źródła do nich znajdują się w ogromnym zaniedbaniu. Przedsiębiorstwa na przykład, w odróżnieniu od instytucji państwowych, nie przechowują na ogół swych akt ponad 10-letni termin przewidziany kodeksem handlowym. Stare książki rachunkowe, korespondencje itp. przedsiębiorstw mogłyby stanowić bardzo cenny materiał. To samo dotyczy instytucyj o charakterze gospodarczym, jak izby rzemieślnicze, izby przemysłowe, spółdzielnie oraz ich związki itp. Dla gromadzenia materiałów z tej dziedziny powinien być zorganizowany przy archiwach dział gospodarczy, który by przejmował akta od tych instytucji z chwilą, kiedy stają się one im zbędne. Wszelkimi środkami należy dążyć do zabezpieczenia i zebrania tego rodzaju materiałów. Oczywiście, materiały dotyczące działalności gospodarczej okupanta mają wartość już nie tylko naukową, ale często praktyczną (kongres pokojowy), należałoby sprawę tę popularyzować jak najszerzej, wzbudzić powszechny szacunek do niemieckiej „makulatury". Do oceny materiałów powołani są jedynie specjaliści. Wobec trudności „papierowych" nie jest rzeczą zbyteczną powtarzanie tego choćby parę razy dziennie w miejscach, w których się urzęduje. Jesteśmy często świadkami, że materiały na kongres pokojowy odgrywają rolę torebek na kaszę, lub mąkę w sklepiku, lub papieru na bruliony pism.

Wydawanie źródeł związane jest zarówno z udostępnieniem materiałów i ułatwieniem pracy badawczej, jak ich zabezpieczeniem przed zniszczeniem. Jest rzeczą jasną, iż przy wszelakiego rodzaju możliwych kataklizmach łatwiej ginie jeden egzemplarz archiwalny niż pewna liczba egzemplarzy wydawnictwa, w którym źródło było drukowane. Toteż sprawa wydawnictwa źródeł **musi** być u nas postawiona na poziomie europejskim.

Zbieranie materiałów do historii ostatniego okresu napotyka na wielkie trudności ze względu na konspiracyjny charakter naszej pracy państwowej w okresie okupacji, jak również ze względu na to, iż nie wszystkie ośrodki pracy były ze sobą powiązane i nie wszyscy ludzie uznali za swój obowiązek przekazanie posiadanych materiałów tworzącemu się państwu. Istnieje uzasadniona nadzieja, że materiały będą napływać coraz obficiej i że będą **centralnie przechowywane.** Ułatwienie pracy zbierania leży w możliwościach najrozmaitszych organizacji społecznych i wskazane byłoby poza tym stworzenie specjalnych naukowych kół regionalnych (prowincjonalnych), w których by amatorzy dopomagali uczonym w pracy. Koła powinny być kierowane i wspomagane przez Centralny Instytut Historyczny, który by pozostawał w ścisłym kontakcie z Wydziałem Archiwów Państwowych. Nauczycielstwo, pracownicy administracyjni, koła samokształceniowe różnego typu, TUR, mogłyby pracować w ramach owych stowarzyszeń naukowych i prowincja miałaby wszelkie szanse odegrania w ruchu naukowym poważnej roli, a co się tyczy prac historycznych — przede wszystkim w zakresie zbierania materiałów. Pożytek byłby podwójny: laicy pracujący dla naukowców ułatwiliby im pracę, pogłębiłyby się i poszerzyły perspektywy historyczne wśród niespecjalistów. Koła naukowe stałyby się ośrodkami jak najszerszej popularyzacji wiedzy na prowincji. Wiąże się to ściśle z ogólnym udostępnieniem kultury całemu narodowi. Sieć muzeów regionalnych byłaby w tej sprawie nie lada jaką pomocą. Małą próbkę tego, co może dać praca prowincji okazuje nam okres pozytywizmu, a tradycje prac regionalnych przewijają się przez wszystkie kulturalnie owocne wysiłki wieku XIX-go, od Staszyca począwszy. Do tych tradycji musimy bez wątpienia nawiązać. Zbieranie materiałów ostatniego okresu powinno objąć:

1) Zbiory prasy druków konspiracyjnych.

2) Dowody działalności niszczącej okupanta, wydawnictwa niemieckie o Polsce i dla Polaków.

3) Relacje z prac konspiracyjnych poszczególnych jednostek i organizacji.

4) Archiwa instytucji konspiracyjnych polskich. Oprócz tego:

5) Archiwa fabryczne i instytucji gospodarczych powinny być zabezpieczane i przekazywane archiwom państwowym.

Zbieranie materiałów z okresu okupacji rozpoczął już „Instytut Pamięci Narodowej" utworzony przy Prezydium Rady Ministrów. Istotne byłoby wciągnięcie do tej pracy jak najszerszych warstw narodu, ażeby nie zniszczały materiały cenne i nie zginął dla pamięci naszych dzieci ciężki okres ostatnich pięciu lat, tak brzemienny w bolesne doświadczenia.

2. OPRACOWANIA HISTORYCZNE.

W zakresie opracowań należy również powiedzieć parę rzeczy, które powinny być jak najpowszechniej znane. Otóż nie dla wszystkich jasna jest sprawa, iż nauka historyczna nie jest pewnego rodzaju zastałą kałużą, w której każde pokolenie kąpie się z jednakową satysfakcją. Tak nie jest, gdyż każda żywotna epoka posiada swoje zadania, swoje cele, swoje problemy. Wobec tego w każdej epoce inne rzeczy wydają się interesujące, bądź rzeczy dawniej interesujące wymagają spojrzenia od nowej, nieznanej dotychczas strony. Ponieważ zadaniem nauki historycznej jest każdorazowe nawiązywanie do tradycji, musi ona, o ile jest żywa, płynąć strumieniem obok biegu czasów. Każda więc epoka, pod grozą utraty ciągłości historycznej, tworzy własne spojrzenie na przyszłość.

Skąd więc patrzy nowa, powstająca Polska? Parę rzeczy wysuwa się tutaj na czoło. A więc po pierwsze: ruch, z którego wyrastamy, jest ruchem demokratycznym; stąd interesujące są dla nas przede wszystkim korzenie, z których wyrastamy — ruchy demokratyczne Polski i związek ich z pokrewnymi dążeniami świata. Ciekawą rzeczą będzie wspomnieć, iż na mapie naszych prac historycznych znajdują się tu brzydkie białe plamy: np. ruch tzw. Jakobinów Polskich nie doczekał się ani jednego opracowania i pragnąc się czegoś o nim dowiedzieć musielibyśmy wyławiać tu czy ówdzie pomieszczone o nim wzmianki. Podobnie bywa i z innymi zagadnieniami z tej kategorii. Przede wszystkim więc, potrzebna jest seria opracowań, które by doświadczenia i tradycje polskich demokratów uczyniły dla nas żywymi. To jednak jeszcze nie jest wszystko. O ile demokracja nie ma być „malowana", traktuje ona życie narodu

jako przejaw prac społeczeństwa, a nie tylko tych czy owych wybitnych jednostek, tych czy owych gabinetów dyplomatycznych. Interesujący więc dla nas staje się związek przywódców różnych kierunków w narodzie z masami społeczeństwa. Z tego punktu widzenia interesuje nas przebieg walk o wolność i niepodległość. Interesuje nas, jakie warstwy społeczne, w jakim stopniu i w którym z kierunków uczestniczyły. Ta dziedzina badań jest nieomal dziewicza, choć istnieją możliwości badań, jak wskazują na to pewne pionierskie opracowania, które próbowały wejść na ową drogę. Oprócz spojrzenia w skali narodowej potrzebujemy silnej świadomej tradycji drobniejszych grup społecznych w ramach naszego państwa. Tradycja ta uczyni pracę ich owocniejszą, bogatszą i napełni ją sensem. Dlatego interesują nas linie rozwoju naszych miast, wsi, fabryk, związków. Interesuje nas zaś przede wszystkim ich wkład w walki wolnościowe, wkład w ludową, gospodarczą i kulturalną pracę. Potrzebna tu jest niezliczona liczba monografii, które powinny być udostępnione i użyteczne każdemu członkowi danej grupy, ażeby wiedział skąd pochodzi, co dla niego zrobili poprzednicy i co on obowiązany jest uczynić dla tych, którzy nadejdą.

Tyle — co się tyczy spraw społecznych. Otwiera się też wielkie pole przed historią gospodarczą, która staje się szczególnie interesująca w epoce, w której stawiamy sobie za cel podniesienie poziomu bytowania najszerszych warstw. Chcemy wiedzieć, w jaki sposób odbywała się praca gospodarcza poprzednich pokoleń, a może znajdzie się tam niejedna nauka na dzień dzisiejszy.

Wreszcie z punktu widzenia polityki ogólnopaństwowej nastąpił zwrot polityki polskiej w kierunku zachodnim. Nawiązujemy do tradycji Państw i dlatego tamta epoka domaga się od nas szczególnie uważnego spojrzenia. Związek kulturalny z ziemiami zachodnimi nastąpić może tylko przez przypomnienie sobie rzeczy bardzo starych i to takie przypomnienie, aby wiedza o nich weszła w świadomość narodu. W związku z tym domagają się również opracowania przyczyny zwrotu w polityce za Jagiellonów. Należy gruntownie przemyśleć dobre i złe owoce tej polityki. Dobrze i wszechstronnie.

Nie ulega wątpliwości, iż sprawa naszego bytu zawisła od dobrych stosunków z naszym wschodnim sąsiadem. Należałoby więc myśl historyczną skierować ku temu, w jaki sposób możemy te dobre stosunki zachować. Rozpatrzenie tego trudnego zagadnienia wymaga od nas trzeźwej i starannej pracy kulturalnej. I wreszcie ostatni akcent: nie mamy powodu przebywać w atmosferze cieplarnianej, w której hodować się chcieli za

wszelką cenę nasi przodkowie w niektórych okresach naszego życia narodowego. Warunki bytu naszego narodu są dostatecznie trudne na to, aby było konieczne realne i chłodne na nie spojrzenie. Nie chcemy taić trudności, braków, błędów. Chcemy bowiem z wszystkiego wyciągnąć naukę. Toteż powiązanie historii z polityką nie znaczy bynajmniej: robimy fabrykację historii à la historiografia hitlerowska, albowiem nie mamy, choć tak się wydaje niektórym, potrzeby przyłgiwania i tym się właśnie różnimy od hitleryzmu. Natomiast nie mamy dość sił naukowych, aby pozwolić sobie na nadmiar pięknoduchostwa i dlatego musimy zwrócić się w kierunku spraw najpotrzebniejszych, inne pozostawiając tylko doraźnemu łataniu, jak dachy w naszych nawpół zwalonych domach. Ten sposób pracy uczyni ją tylko żywszą i owocniejszą, gdyż zagadnienia, domagające się aktualnie rozwiązania, są zarazem dla ludzi duchowo młodych najciekawsze.

3. POPULARYZACJA.

Popularyzacja staje się szczególnym nakazem chwili, w której stawiamy sobie zadanie złączenia całego narodu z dorobkiem kulturalnym, będącym do tej pory własnością tylko pewnych jego warstw. Staje się ona tak ważna, jak sama praca naukowa. Toteż ogromną ilość sił musimy poświęcić na to, aby złączenie to nie było fikcją. Być może, że nawet w pierwszym okresie odbyć się to może kosztem szerokości bezpośredniej akcji badawczej, do której powinny być skierowane tylko najkonieczniejsze, lecz również i najcenniejsze siły. Te siły zaś muszą często chwilowo złożyć ofiarę ze swoich najbardziej bezpośrednich zainteresowań, aby uczynić zadość obiektywnym zainteresowaniom społecznym. Muszą natomiast zdobyć się na głębię większą, niż to było wymagane pół pokolenia wstecz. Należy bowiem dojść do takiej precyzji i jasności myślenia, aby osiągnęło ono szczyty prostoty bez uproszczania. W zamian pracownicy naukowi otrzymają piękno pracy głęboko użytecznej i związek z narodem, dzięki czemu pytanie o cel życia i wysiłków stanie się zbyteczne i nieaktualne w przeciwieństwie do okresu dwudziestolecia 1918 — 1939.

Naród nie potrzebuje bajeczek choćby o największej wartości aktualno-propagandowej, lecz to nie znaczy bynajmniej, by nie trzeba było wielu rzeczy przemyśleć pod kątem widzenia aktualnym i podać ich w sposób propagandowy. Jest się bowiem odpowiedzialnym za społeczne skutki swojej pracy. Leży więc przed nami olbrzymia trudność, jak wszechstronną,

zawiłą wiedzę przygotować w sposób jasny, prosty, prawidłowy, uwypuklający rzeczy najważniejsze, i jak ją opracować jak najpiękniej. Tutaj właśnie rosną płodne sady pracy popularyzatorskiej. W dziedzinie nauk historycznych, dzięki niej właśnie, naród jako całość ma uzyskać w tempie jak najszybszym ową masową dojrzałość polityczną, opartą o tradycję, jaką spotykamy w narodzie angielskim. O roli, jaką mogłyby odegrać prowincjonalne koła w szerzeniu kultury historycznej, już pisano, pracę ich wesprą wydawnictwa. Dopiero ten ostatni popularyzatorski etap czyni pracę historyka prawdziwie użyteczną i celową społecznie, a także nada jej swoisty urok. Jest to tak jakby własny naród obdarzało się duszą. I dlatego w pierwszych dniach tworzenia przystańmy poważnie przed pięknym pytaniem: „Jaką duszę tworzą w pracowni naukowej?" „Jaką podaje moja popularyzacja?" I pamiętajmy, że za braki charakteru i myśli, za płyciznę ich będziemy ciężko odpowiadać. Przeklinamy wiele z otrzymanego dziedzictwa, oby nas kiedyś nie przeklinano.

* * *

Oto więc koniec cyklu kulturowego: z polityki wyszedłszy, wracamy znów do polityki, ażeby w tym kulturowym obiegu umieścić nauki historyczne i odnaleźć ich rolę społeczną oraz stojące przed nami zadania. Trudności techniczne, braki w ludziach piętrzą się. Jeszcze ogromniejsze stają się potrzeby. Rzecz jasna jednak, wiemy to z okresu okupacji, wysiłek wiele może, jeżeli jasny i nieodparty jest cel. Z chwilą więc, w której świadomość naszej nauki zejdzie się ze świadomością narodu, z tych mocnych korzeni zaczerpniemy siły i wiarę. Wtedy wiele rzeczy okaże się równie łatwe, jak śmierć na barykadzie warszawskiego powstania w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku i... równie realne, lecz skuteczniejsze.

Dr TEOFIL WOJEŃSKI

Wpływ kryzysu kultury mieszczańskiej na literaturę

(Światopoglądowe podstawy literatury przedwojennej cz. II)

Brak określonego poglądu na świat, rozkład jednolitej początkowo kultury mieszczańskiej, pełnej teraz rażących sprzeczności, nie sprzyjały wytworzeniu się dostatecznie określonego stylu w sztuce w okresie między obu wojnami światowymi 1918 — 1939, nie sprzyjały rwnież ustaleniu się określonego charakteru współczesnej literatury.

Nie popełnimy też błędu, jeżeli stwierdzimy, że literatura światowa tego okresu poza Związkiem Radzieckim nie posiada swoistego, odrębnego, charakterystycznego oblicza — nie jest odbiciem żadnego nowego prądu umysłowego, ani nowego poglądu na świat. Nie zdobyła się również na własny, swoisty i oryginalny wyraz artystyczny. Stwierdzając ten stan rzeczy, nie zamierzam zlekceważyć czy nie docenić dwudziestokilkoletniego dorobku literackiego w latach 1918 — 1939. Dorobek ten, zarówno ilościowo, jak i jakościowo niewątpliwie poważny, nie jest jednak wyrazem nowej treści i formy w stosunku do literatury przed rokiem 1914.

Błędne byłoby również pomawianie literatury światowej tego okresu o brak ambicyj i aspiracyj pod tym względem. Przeciwnie, jesteśmy świadkami żywych i pełnych pasji poczynań nowatorskich. Wszystkie te jednak porywy i wysiłki nie spłynęły w jedno zwarte łożysko, nadające swoisty charakter literaturze, wyczerpywały się raczej w teoretycznych wypowiedziach i eksperymentach. Nowy kierunek w sztuce i literaturze w istocie rzeczy ustalają nie teoretycy i eksperymentatorzy, ale wielkie talenty, potwierdzające i uzasadniające walorami estetycznymi swojej twórczości słuszność takiej czy innej teorii. Takich twórców nowe, rozwijające się w tym okresie kierunki literackie nie wydały.

Terenem najobfitszych eksperymentów w dziedzinie sztuki stają się kraje romańskie (Włochy, Francja). We Francji, jeszcze na przełomie XIX i XX wieku, pojawia się szereg kierunków literackich, a raczej prób wytworzenia odrębnego stylu (naturzyści, sentytyści, integraliści, unanimiści itp). Spośród tych prób dwa tylko kierunki: ekspresjonizm i futuryzm wy-

warły wybitniejszy i istotniejszy wpływ na rozwój literatury światowej. Ekspresjonizm miał swój okres tryiumfu, w malarstwie i poezji francuskiej i wywarł dość duży wpływ na malarstwo i literaturę europejską. W swoich założeniach skłonny do uznania podświadomości za wartość absolutną, ekspresjonizm pragnie, by sztuka służyła wyrażaniu irracjonalnego żywiołu podświadomości. Nie bez słuszności Wilhelm Feldman w swojej „Współczesnej literaturze" widzi w treści ekspresjonizmu wyraz odrodzenia się filozoficznego idealizmu i słusznie traktuje ekspresjonizm jako swoistą postać romantyzmu, wyrażającą się w proteście przeciwko supremacji rzeczywistości zewnętrznej, w przeciwstawieniu tej rzeczywistości prawdy wewnętrznej, możliwej do osiągnięcia nie na drodze rozumowej, ale uczuciowej. W my'l założeń filozoficznych ekspresjonizmu sztuka ma za zadanie w sposób syntetyczny, choćby przy pomocy prymitywnych form, oddawać jak najbardziej sugestywnie wizję irracjonalnego życia wewnętrznego.

Futuryzm jako kierunek w sztuce, podobnie jak ekspresjonizm, znalazł wyraz przede wszystkim w sztukach plastycznych i muzyce. Na tym terenie ujawnił się jako jeden z kierunków ekspresjonizmu w usiłowaniu przedstawienia w dynamicznej rytmice wizji duchowych oderwanych od cielesności. Futuryzm jako kierunek skrystalizował się we Włoszech, wywierając wpływ na literaturę francuską i inne literatury europejskie.

Podobnie jak w ekspresjonizmie można i należy w futuryzmie widzieć swoistą postać romantyzmu. Z romantyzmem łączy te dwa kierunki pogarda dla realizmu, zdaniem teoretyków tych kierunków, przedstawiającego świat zjawisk w sposób fałszywy, bo w postaci znieruchomiałej, statycznej, kiedy istotą życia jest jego dynamiczność. Stąd odrzucenie dotychczasowych środków wyrazu artystycznego i poszukiwanie nowych dla oddania tej dynamiczności. Mistrzami futurystów stają się też wielcy piewcy żywiołu życia: Rimbaud, Verhaeren, Walt, Whitman.

Wpływ ekspresjonizmu i futuryzmu na literaturę europejską, jakkolwiek w pewnym okresie dość duży, był przecież przemijający, krótkotrwały i niedość istotny. Żaden z tych kierunków nie nadał literaturze tego okresu swoistego charakteru, żaden nie wydał pisarzy, którzy by głębokością treści czy mistrzostwem formy utrwalili w historii i literaturze zdobycze i osiągnięcia tych kierunków.

Istotny natomiast dla literatury tego okresu jest eklektyzm estetyczny, istotna oboczność wpływów zeszłowiecznych prą-

dów: romantyzm i realizm. Terminy bowiem, którymi posługiwać się będzie krytyka literacka, jak: neorealizm czy surrealizm, w istocie oznaczać będą swoiste postaci realizmu. Wszyscy wybitni pisarze europejscy tego okresu są kontynuatorami bądź tradycji romantyzmu, bądź realizmu, ewentualnie klasycyzmu (neoklasycyzm). Pierwszy przeważa w liryce, drugi w prozie. W treści utworów we wszystkich literaturach światowych tego okresu daje się odczuć oboczność tradycjonalizmu i nacjonalizmu z rewolucyjnym dążeniem do przebudowy świata na sprawiedliwych społecznie podstawach.

Oboczność ta występuje wyraźnie zwłaszcza w literaturze francuskiej.

Podobnie jak w literaturze francuskiej i w literaturze niemieckiej występuje oboczność wpływów romantyzmu i realizmu, a w treści ideologicznej — pacyfizmu i humanitaryzmu z wzrastającym zoologicznym nacjonalizmem. Pacyfizm i humanitaryzm, uzasadniony niedawno przeżytymi okropnymi doświadczeniami pierwszej wojny światowej, wystąpi zwłaszcza silnie w pierwszych latach po wojnie. Żadna bodaj literatura europejska nie posiada tak obfitego dorobku literackiego, osnutego na tle przeżyć wojennych, jak niemiecka. Spośród utworów niemieckich ‚poruszających ten temat, największym rozgłosem światowym cieszyła się powieść Remarque'a pt. „Na zachodzie bez zmian". Prócz Remarque'a rozgłos światowy uzyskał szereg powieści osnutych na tle wypadków i przeżyć wojennych, napisanych przez innych pisarzy niemieckich, jak: Glaeser, Zweig, Roth i inni. Szereg pisarzy niemieckich, jak wspomniany Glaeser (w „Ostatnim cywilu"), Doblin i inni usiłują bezskutecznie przeciwstawić się wzrastającemu w Niemczech z niebywałą siłą militaryzmowi i nacjonalizmowi. Rzecznikiem humanitaryzmu był również jeden z najwybitniejszych pisarzy niemieckich, Tomasz Mann. Wkrótce jednak gwałtowny rozrost zoologicznego nacjonalizmu w postaci ruchu hitlerowskiego zatamował całkowicie rozwój tych tendencji w literaturze. Wraz ze zwycięstwem hitleryzmu większość tych pisarzy znalazła się w obozach koncentracyjnych lub na emigracji, a książki ich, o tendencjach pacyfistycznych i humanitarnych, zostały skonfiskowane i spalone.

Wpływy ekspresjonizmu i futuryzmu znalazły bogaty wyraz w liryce i dramacie niemieckim tego okresu, ale i tu nie wydały dzieł, które by stanowiły trwałą pozycję w literaturze światowej.

Nie we Francji, ani we Włoszech i nie w Niemczech, ale w Anglii, kraju przodującym w rozwoju kultury mieszczań-

skiej, pojawiło się dzieło, będące najpełniejszym w literaturze artystycznym wyrazem kultury mieszczańskiej tego okresu. Dziełem tym była wielotomowa powieść Galrworthy'ego „Saga rodu Forsytów". Sam autor na wstępie do tej powieści zaznaczył, że świat mieszczański, „świat posiadaczy", który odtwarza w swojej powieści, uważa za świat kończący się, schodzący z widowni dziejowej, i dlatego pragnie go w dziele literackim zachować w niezmienionym kształcie „jak w szklanej retorcie". Rzetelny talent wielkiego pisarza angielskiego pozwolił mu w tej powieści stworzyć niezwykle piękną epopeę mieszczańską, przerastającą walorami literackimi liczne tego typu utwory współczesnej literatury światowej, jak „Buddenbrockowie" Manna, „Babbit" Sinclair Lewisa i inne. Jakkolwiek świat mieszczański oddany został w tej powieści bez pasji rewolucjonisty i reformatora, jakkolwiek odtworzony został raczej z ciepłem i rzewnością człowieka, który czuje się związany z tym odchodzącym światem — znamiona kryzysu tego świata i jego kultury odmalowane zostały w sposób wyrazisty i przekonywający. Najbardziej tę kulturę w obrazie życia mieszczańskiego nakreślonym przez Galsworthy'ego, kompromituje fakt, uwydatniony w powieści, że nie wytrzymuje ona konfrontacji z ideałami, na których się rzekomo opiera; że ideały te traktowane na serio nie tylko tej kultury nie podtrzymują, ale ją rozsadzają. Nie będąc reformatorem i nie przeciwstawiając współczesności wizji przyszłości, umie Galsworthy przedstawić w swojej powieści świat mieszczański tak, by w duszy czytelnika pozostała po jej przeczytaniu świadomość, że fala życia sięga już dalej poza zakres tego świata i że kultura mieszczańska zatrzymała się beznadziejnie na mieliźnie i ulega procesowi rozkładu.

„Saga rodu Forsytów" jest w swoim wyrazie artystycznym, podobnie jak większość najbardziej wartościowych utworów tego okresu, poza zasięgiem wpływów ekspresjonizmu, futuryzmu i innych nowatorskich kierunków literackich, pozostając dobrą powieścią realistyczną. W fakcie tym znajdujemy potwierdzenie wyrażonej powyżej tezy o nieistotnym wpływie tych kierunków na rozwój współczesnej literatury. Obok Galsworthy'ego znamiona kryzysu kultury mieszczańskiej obnażali w Anglii pisarze poprzedniego okresu, kontynuujący i teraz swoją twórczość, jak Bernard Shaw, Chesterton, Wells, Conrad. Kryzys kultury mieszczańskiej będzie tematem i znajdzie odbicie w dochodzącej w tym okresie do głosu literaturze amerykańskiej, z której szereg pisarzy zyskuje teraz światową sławę.

Odrębną pozycję w literaturze światowej tego okresu stanowi literatura Rosji Radzieckiej. Jej odrębność związana jest z odrębnymi warunkami gospodarczymi i politycznymi tego kraju. Przewrót rewolucyjny, który się tu dokonał i dokonująca się permanentnie przebudowa ustroju, nadały literaturze rosyjskiej swoisty charakter. Jest ona wyrazem zupełnie odrębnej postawy wobec życia, przeciwstawiającej się reszcie swiata rządzącej się i gospodarującej według starych zasad ustroju kapitalistycznego. W przeciwstawieniu do pozostałej literatury światowej — literatura Rosji Radzieckiej posiada swoiste oblicze, jaskrawo przeciwstawione obliczu literatury sprzed 1914 roku. Jest ona wyrazem nowego poglądu na świat, nowego prądu kultury, biorącego swój początek z nowego układu stosunków społeczno-gospodarczych. Obcy temu prądowi jest sceptycyzm w stosunku do wiedzy i skrajny relatywizm chylącej się ku upadkowi kultury mieszczańskiej. Cechuje go natomiast optymizm, wiara w potęgę wiedzy, entuzjazm dla planowego i rozumowego opanowywania rzeczywistości otaczającej i stosunków międzyludzkich. Jest to literatura realistyczna, ale realizm tej literatury nie ma nic wspólnego z realizmem literatury mieszczańskiej. Jego źródłem jest entuzjazm dla budowanej lepszej przyszłości, afirmacja wyłaniających się zrębów nowej rzeczywistości.

ZYGMUNT MŁYNARSKI

Wanda Wasilewska

Czasem drobny na pozór przypadek rozpętuje żywiołową burzę, prosty czasem na pozór zbieg okoliczności wyzwala ukrytą siłę, drobna czasem iskra wywołuje nieopanowany pożar. Któż mógł przypuszczać, że z tej szczupłej studentki Uniwersytetu Jagiellońskiego, skromnej i jakby w cieniu chowającej się, prosty, na pozór nic nie znaczący przypadek, wyzwoli talent pisarski, entuzjazm umiłowania sprawy ludu pracującego, wszechogarniającą miłość ojczyzny i tak przewidujący zmysł polityczny.

W czasie swych studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim była Wanda Wasilewska członkiem Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, współpracowała też z Towarzystwem Uniwersytetu Robotniczego. Trzeba było TUR-owi wzmocnić pracę propagandową, trzeba było skierować zainteresowania młodzieży robotniczej i chłopskiej na problemy społeczne i problemy samokształcenia, trzeba było obudzić świadomość klasową tej młodzieży. Trzeba było dotrzeć do tej młodzieży drukowanym słowem, dotrzeć broszurami i odezwami. Aby porwać młodzież, trzeba użyć odpowiedniego stylu, pełnego patetycznego bohaterstwa a jednocześnie lekkiego i pełnego polotu artystycznego. Bo najtrudniej może napisać odpowiednią odezwę do młodzieży, najtrudniej też znaleźć odpowiedniego autora. Długo kierownictwo krakowskiego TUR-u szukało — i tak zupełnie przypadkiem zwróciło się do Wandy Wasilewskiej. Nie odmówiła Wanda Wasilewska, odezwę napisała. I ta właśnie przez nią napisana odezwa zdradziła ukryty talent literacki.

Wanda Wasilewska pochodzi z rodziny intelektualistów, gorąco jednocześnie patriotycznej. W czasie pierwszej wojny światowej ojciec i matką Wandy wstępują do Legionów, chcąc czynem zadokumentować swoje gorące umiłowanie Ojczyzny. W tym czasie też Wanda Wasilewska przechodzi pierwszą swą twardą szkołę życia. Zamieszkuje razem z siostrą u babki-staruszki, cierpiąc głód i niedostatek. Te lata głodu i niedostatku wyciskają na Wandzie Wasilewskiej niezatarte piętno. Przebywając na wsi podgórskiej, styka się z ludem, poznaje jego troski i niedole, jego smutki i radości. Umysł dziecka chłonie spostrzeżenia i wrażenia, stara się je usystematyzować,

stara się wyjaśnić skomplikowany mechanizm społeczny, który jednym sytość i szczęście daje, drugich zaś na nędzę i poniewierkę skazuje. Szuka przyczyny tego zjawiska i do świadomości Wandy Wasilewskiej dociera jedna prawda, jedno wytłumaczenie, że to układ społeczny, w którym nieliczna klasa ludzi, posiadająca w swym ręku wszystkie środki życia i użycia panuje i rządzi, rozporządza życiem i śmiercią milionowych mas.

Gorące umiłowanie Ojczyzny wyniosła Wanda Wasilewska z domu rodzicielskiego. Teraz jednak to umiłowanie Ojczyzny spłotło się w niej nierozłącznie z pragnieniem Polski prawdziwie wolnej, Polski wolnych ludzi bez krzywd, bez ucisku i wyzysku. Twarda szkoła życia, bystry zmysł obserwacji, wyrobiły w Wandzie Wasilewskiej światopogląd, który miał nadal dominować w jej działalności, który płomiennym buntem przeciw społecznemu złu zapalił się w jej powieściach, który jej całe życie kazał walczyć o nową Polskę sprawiedliwości społecznej i prawdziwej demokracji, ten światopogląd, który dzisiaj święci swój prawdziwy triumf.

Marzeniem ojca Wandy, Leona Wasilewskiego, pierwszego Ministra Spraw Zagranicznych w rządzie Niepodległej Polski w Lublinie było, aby jego córka została pisarką. Przez długi jednak czas półki księgarskie, oprócz małej książeczki dla dzieci nie gościły dzieł Wandy Wasilewskiej. Rozgłos i popularność odrazu zdobyła jej pierwsza powieść „Oblicze dnia". Tutaj też po raz pierwszy odsłania Wanda Wasilewska swe oblicze ideowe. Powieść jej mówi o twardym życiu robotników, o krakowskich murarzach, którzy w walce o nowy ład społeczny szukają rozwiązania problemów dnia. — Nawrotem jakby do dziecięcych przeżyć na wsi — jest jej druga powieść, pod tytułem „Ojczyzna". Powieść trafnie ujmuje zagadnienie polskiej wsi, zawziętą a nieubłaganą walkę między polskim chłopem a polskim obszarnikiem. Głęboko przejmuje autorkę krzywda chłopska, z bezgranicznym oburzeniem, śmiało, realne prawie nazwiska cytując, piętnuje Wanda Wasilewska tych polskich obszarników, którzy przeciw walczącym o swe słuszne prawa chłopom nie wahają się wojska sprowadzić, nie wahają się przywódców chłopskich oddawać w ręce żandarma.

Wanda Wasilewska to jednak nie tylko powieściopisarka, ale przede wszystkim — publicystka, działaczka społeczna. A działalność jej cała to walka, walka nieubłagana, walka piórem, w obronie pokrzywdzonych i uciśnionych, w obronie godności człowieka. Ileż to płomiennych odezw wyszło z pod pióra Wandy Wasilewskiej, ile zostało wygłoszonych odczytów do

mas pracujących, odczytów, rozniecających w nich niegasnący żar walki o wyzwolenie. Każdą ludzką niedolę chce poznać Wanda Wasilewska własnymi oczyma. Jej postacie w książkach — to nie martwe, papierowe sylwetki, w ciszy gabinetu wycyzelowane. Wszyscy oni — to ludzie wprost z życia wzięci i wtłoczeni w ramy książek. Aby poznać ludzi trzeba się z nimi zetknąć bezpośrednio. I dlatego Wanda Wasilewska jeździ po kraju, stara się dotrzeć do najbardziej odległego zakątka, nawet tam, gdzie świat dosłownie „zabity deskami". Wśród nadburzańskiego ludu tworzy Wanda Wasilewska swą powieść reportaż „Ludzie w jarzmie", wśród bagien i błot pińszczyzny powstaje „Płomień na bagnach". W ostatnim tym swoim reportażu daje Wanda Wasilewska realny obraz życia chłopów polskich, ich walkę z zalewającą błotem przyrodą, walkę z osadnikami, których zadaniem było wynarodowienie ukraińskich czy białoruskich chłopów.

Tragiczny wrzesień 1939 r. skazuje Wandę Wasilewską na długą, przymusową i bezczynną wędrówkę.

Pobyt we Lwowie otwiera w życiu Wandy Wasilewskiej drugi etap, w którym nad powieściopisarką przeważa działaczka społeczno-narodowa. Nie znaczy to, aby przestała pisać. Stworzona w czasie wojny Związku Radzieckiego z hitlerowskim najeźdzcą powieść „Tęcza" zyskuje jej nie tylko honorowy tytuł laureata nagrody imienia Stalina, nie tylko sławę, ale powieść ta jest może jednym z najlepszych jej dzieł. Ale oznacza to, że sprawa paktu dominowała w jej postępowaniu. Ona bodaj pierwsza ze wszystkich zrozumiała, że naród polski może zerwać pęta straszliwej niewoli hitlerowskiej tylko z pomocą Związku Radzieckiego. I dlatego Wanda Wasilewska szukała pomocy radzieckiej od pierwszej chwili o tę pomoc zabiegała.

Nazwisko Wandy Wasilewskiej nie było obce Związkowi Radzieckiemu. Jeszcze przed 1939 rokiem powieści jej były tłumaczone na język rosyjski czy ukraiński. To też sam fakt pojawienia się we Lwowie wysuwa ją na czoło polskiego życia uchodźczego, to też właśnie Wanda Wasilewska staje się rzecznikiem polskich spraw wobec władz radzieckich. Rzecz naturalna, że ta jej misja spotyka się ze spotęgowaną nienawiścią polskiej reakcji. Zostaje okrzyczana „zdrajczynią narodu" przez tych, którzy we Lwowie chętniej widzieliby wojska niemieckie. Nic jej w pracy powstrzymać jednak nie zdoła. Nawet strzały ciemnych sił reakcji, które rozległy się w jej lwowskim mieszkaniu po przyjeździe z Moskwy, gdzie jako poseł do Rady Najwyższej Związku Radzieckiego jeździła. A jedyną reakcją na

te strzały, były słowa przez nią wypowiedziane: „Mnie nikt strzałami nie zastraszy".

W roku 1941 zmienia się radykalnie stosunek władz radzieckich do ludności polskiej. Na Ukrainie czy na Białorusi radzieckiej powstaje sieć szkolnictwa polskiego, powstaje cały szereg szkół wyższych. I może nieliczna stosunkowo grupa ludzi wie, że dokonało się to wszystko na skutek osobistych zabiegów Wandy Wasilewskiej, na skutek jej kilkakrotnych rozmów z generalissimusem Stalinem.

Wybuch wojny radziecko-niemieckiej wprowadza nową zmianę w życiu Wandy Wasilewskiej. Obowiązek woła ją do czynnej walki z okupantem Polski, obowiązek narodowy nakazuje jej wstąpić w szeregi wojskowe Armii Czerwonej i walczyć na froncie, dosługując się stopnia oficerskiego. Nie wystarczają jej jednak bohaterskie porywy jednostek, pragnie, aby idea walki z niemcami przy boku Związku Radzieckiego objęła całe polskie społeczeństwo, rozsiane po terenach Związku Radzieckiego.

Kiedy, wykorzystując w zdradziecki sposób ciężką sytuację Związku Radzieckiego, generał Anders pchnął do Persji kilkudziesięciotysięczną Armię Polską, kiedy też londyński rząd Sikorskiego dał się wciągnąć w prowokację katyńską, kiedy rząd Radziecki zerwał stosunki dyplomatyczne z kliką pana Raczkiewicza, wtedy Wanda Wasilewska staje się ambasadorem myśli polskiej w Związku Radzieckim. Organizuje Związek Patriotów Polskich, zabiega o stworzenie pierwszej dywizji polskiej, która w niedługim czasie tak nieśmiertelną chwałą okryła się w bitwie pod Lenino. To był zaczątek Armii Polskiej. Związek Patriotów Polskich rozrósł się w krótkim czasie w potężną siłę. Nie było na terenie Związku Radzieckiego skupiska polskiego, gdzieby nie powstała filia Z.P.P. A nad całością spraw Związku czuwała Wanda Wasilewska.

Armia Czerwona przekracza Bug, wraz z nią wstępują na ziemię polską — polskie oddziały. Na wolnej ziemi rodzi się P.K.W.N., w skład którego zostaje powołana i Wanda Wasilewska jako przewodnicząca. Nie obejmuje jednak powierzonego jej stanowiska. Zostaje w Związku Radzieckim na czele Związku Patriotów Polskich. Nie chce opuścić tam żyjących Polaków, dopóki nie zlikwiduje zagadnienia repatriacji.

Żyjemy dziś w wolnej Polsce, w Polsce wywalczonej krwią żołnierzy Armii Czerwonej, krwią żołnierza polskiego, ofiarnym wysiłkiem całego narodu. I właśnie dzisiaj wolni i swobodni, nie możemy zapomnieć o tej cegiełce, którą do zrębów budującego się niezależnego bytu dorzuciła Wanda Wasilewska, nieugięta bojowniczka Polski ludu pracującego, Polski demokracji.

FRANCISZEK BARTNICKI (W. Poniecki)

Szlachetne serce

Aleksander Iwanowicz Hercen należał do najwybitniejszych postaci rosyjskiego ruchu rewolucyjnego w XIX wieku. Należał on do tych przedziwnie pięknych natur, które powstawały w Rosji na tle szlachecko-pańszczyźnianego ustroju i bezwzględnego samowładztwa cara Mikołaja I. Kontynuator Dekabrystów, szermierz wolności, wielki entuzjasta polskiego powstania listopadowego, a przede wszystkim jasnowidz nadchodzącej rewolucji socjalnej na realnym gruncie rosyjskim. Oto jego słowa: „Istotnie, jeśli socjalizm nie będzie w stanie przeistoczyć rozkładającej się społeczności — Rosja dokona tego. Nie twierdzę, iż jest to konieczne, lecz możliwe".

Słowo jego posiadało czar poezji, subtelnej ironii, wytwornego romantyzmu. Wspaniale przedstawił światu Rosję ujarzmioną, cierpiącą, ujawnił jej głęboką myśl, skutą kajdanami carów, i pokazał serce, bijące tęsknotą do wolności. Był to mistrz tak wymowny, że Europa musiała go słuchać w skupieniu. „Hercen — jak słusznie zaznaczył Stanisław Brzozowski — jest klasykiem wszechświatowej literatury, nie zestarzeje się nigdy, tak, jak nie starzeje się Montaigne, Pascal, Wolter, Heine". A jako stylista pozostał na długie wieki wzorem piękna języka rosyjskiego.

Na dobrowolnej emigracji Hercen brał żywy udział w pracy społecznej, pisał wiele, przemawiał. Znał wszystkich wybitniejszych rewolucjonistów ówczesnych, służył sprawie rewolucji nie tylko piórem, lecz i pieniędzmi.

W przepięknych swych artykułach i studiach, pisanych, czytanych i podziwianych na emigracji, zwłaszcza w świetnych pamiętnikach „Byłoje i Dumy" („Przeszłość i rozmyślania"), jakich nie posiada żadna literatura świata, opisał Hercen historię ruchu ideowego wśród młodego pokolenia na tle klęski Dekabrystów. Opisał tu nie tylko swoje dzieciństwo i młodość, ale dał obraz politycznych, społecznych i literackich stosunków w Rosji, w latach 1812 — 1847, tak jak się one odbiły w myśli głębokiego badacza i bystrego spostrzegacza.

Ojciec Hercena, Iwan Jakowlew, był wielkim obszarnikiem rosyjskim; całą swoją kulturę zawdzięczał podróżom po Europie zachodniej; wychowaniec XVIII wieku, uczeń Woltera, czytał tylko po francusku i władał tym językiem lepiej, niż rosyjskim. Matka Hercena, młoda Niemka, Ludwika Hercen, cór-

ka kupca ze Stuttgartu, mając lat 17, zgodziła się towarzyszyć młodemu magnatowi w podróży i zamieszkać w jego domu, w Moskwie, gdzie była zawsze uważana za jego żonę, mimo, iż żadnego ślubu cerkiewnego nie zawarli.

Z tego właśnie wolnego małżeństwa przyszedł na świat syn Aleksander, urodzony dnia 25 marca 1812 r., tj. na kilka miesięcy przed wkroczeniem armii francuskiej do Moskwy.

Stary Jakowlew był egoistą, nieznośnym tyranem dla całego otoczenia; pędził życie w ponurym, arystokratycznym odosobnieniu, spoglądając z nieopisaną pogardą na chłopów i mieszczan. Żona jego była nieszczęśliwą, osamotnioną kobietą, odznaczającą się żywym umysłem i gorącym sercem.

Młody Hercen otrzymał wielkopańskie wychowanie w domu ojca; pochłonął bibliotekę ojcowską, rozkochał się w utworach Szekspira i Szyllera, zapłonął do wolności i buntu. Czcił pamięć Dekabrystów, marzył o wskrzeszeniu ich związku. „Opowiadania o buncie, o sądzie, przerażenie w Moskwie, wywarły na mnie — wspomina Hercen — mocne wrażenie. Przede mną otwierał się świat nowy, który stawał się coraz bardziej ośrodkiem całego mego jestestwa moralnego; nie wiem, jak się to stało, lecz mało lub bardzo niejasno pojmując, o co chodzi, czułem, że nie jestem po tej stronie, gdzie kartacze i zwycięstwo, więzienia i kajdany. Stracenie Pestla i towarzyszów ostatecznie obudziło moją duszę ze snu dziecięcego".

Działo się to przed koronacją Mikołaja I, i z tej racji w Moskwie oczekiwano ułaskawienia pięciu Dekabrystów. Oto ich nazwiska: Rylejew, Bestużew-Riumin, Pestel, Murawiew-Apostoł i Kachowski. Lecz młodego cara mało znali Rosjanie. Wzmianka podana w gazecie „Wiadomości Moskiewskie" o egzekucji zaskoczyła ludność. Na drugi dzień po tej egzekucji odbyło się uroczyste nabożeństwo w Kremlu. „W pośrodku Kremla — pisze Hercen — metropolita Filaret dziękował Bogu za morderstwo. Cała rodzina carska modliła się, obok niej senat, ministrowie, a dookoła, na ogromnej przestrzeni, klęczały gęste masy gwardii i także modliły się; armaty grzmiały z wyżyn Kremla. Nigdy szubienicom nie towarzyszyły takie uroczystości. Mikołaj I zrozumiał potęgę swego zwycięstwa. Byłem na tym nabożeństwie jako chłopiec czternastoletni, zagubiony w tłumie, i tu przed ołtarzem, zbezczeszczonym przez krwawą modlitwę, przysiągłem pomścić straconych i ofiarowałem siebie na walkę z tym tronem, z tym ołtarzem, z tymi armatami. Nie pomściłem: gwardia i tron, ołtarz i armaty — wszystko to zostało; lecz po latach trzydziestu stoję pod tym samym sztandarem, którego ani razu nie zdradziłem".

Sposobność pomsty nadeszła, kiedy Hercen wstąpił na uniwersytet moskiewski, na wydział przyrodniczy .Tu właśnie młodzież łączyła się w kółka rewolucyjne. Studenci głosili wolność i walkę, nienawiść do wszelkiego gwałtu, do wszelkiej samowoli rządu. Propagowali hasła Dekabrystów i rewolucję francuską, Saint-simonizm, konstytucję i republikę. Do kółek uniwersyteckich należeli młodzi marzyciele, którzy później stali sę pionierami rosyjskiej myśli wolnej, a byli nim: Bakunin, Bieliński, Granowski, Stankiewicz, Ogarow, Hercen i wieu innych.

Dwaj przyjaciele dozgonni, Ogarow i Hercen, na górach Worobjowych, mając przed sobą wspaniałą panoramę Moskwy, rzucili się sobie w objęcia i poprzysięgli, że poświęcą swoje życie walce z caratem.

Do wrażeń z roku 1825 i 1826 doszły niebawem wieści z r. 1830 — paryskiej rewolucji lipcowej, a zwłaszcza powstania listopadowego w Polsce. Hercen tak opisuje ówczesne swoje przeżycia: „Wśród tego rozgwaru, nagle, niby bomba, która padła obok, ogłuszyła nas wieść o powstaniu warszawskim. To już niedaleko, to już w domu; patrzyliśmy na siebie ze łzami w oczach i powtarzaliśmy ulubione słowa: Nie, to nie są nieziszczalne marzenia. Cieszyliśmy się z każdej klęski Dybicza, nie wierzyliśmy w niepowodzenia Polaków i ja natychmiast dodałem do swego ołtarzyka — portret Tadeusza Kościuszki.

„W tym bowiem czasie, widziałem Mikołaja po raz drugi, i tu oblicze jego jeszcze bardziej wryło się w pamięć moją. Zgromadzenie szlachty urządziło mu bal; byłem wtedy na chórze i mogłem dobrze napatrzeć się na niego. Stał ponuro u kolumny, patrząc przed siebie wzrokiem zimnym i okrutnym. Schudł, w tych rysach i ołowianych oczach, można było dokładnie wyczytać los Polski i Rosji. Był wstrząśnięty, wylękły. zwątpił o trwałości tronu i gotów był do zemsty za to, co wycierpiał, za swój lęk i swe wątpliwości. Od czasu podboju Polski wszystkie przytłumione nienawiści tego człowieka rozwinęły się. Wkrótce i myśmy to poczuli". Tak maluje Hercen oblicze srogiego i krwawego cara Mikołaja I.

Po stłumieniu siłą powstania listopadowego, wzmocniono w uniwersytetach rosyjskich sieć szpiegostwa oraz nadzór policyjno-żandarmski nad studentami. Tropiono tajne kółka akademickie, sypały się surowe kary za działalność rewolucyjną i wolnomyślną.

W czerwcu 1834 r. aresztowano kilku studentów za działalność rewolucyjną; od nich przez listy przejęte i zeznania — dobrano się do Ogarowa i Hercena. Wszyscy przypłacili to wię-

zieniem i paroletnim wygnaniem. Hercena zesłano do Wiatki. potem do Włodzimierza, a następnie do Nowogrodu. Na zesłaniu zabrał się gorliwie do filozofii Hegla, poznał jego metodę dialektyczną i doszedł do wniosku, że teoria ta jest „algebrą rewolucji". Dalsze zaś studia nad filozofią heglowską utorowały mu drogę do materializmu dziejowego.

W r. 1842 Ogarow przywiózł swemu przyjacielowi dzieło Ludwika Feuerbacha „Istota Chrześcijaństwa". „Przeczytawszy pierwsze strony, podskoczyłem z radości". Tu Hercen uczuł się od razu wyzwolony i w porywie pierwszego zapału filozoficznego napisał cały szereg artykułów pt. „O dyletantyzmie w nauce" i „Rozwój idei". Słowem, Feuerbach ułatwił Hercenowi zrzucenie jarzma filozofii heglowskiej, — przejście od idealizmu do materializmu.

Po powrocie do Moskwy Hercen, pisząc pod pseudonimem Iskander, ogłosił dwutomową pracę pt. „Listy o badaniu natury", w której wyjaśnił przyczyny powstania materializmu współczesnego i dał jasny, krytyczny sąd o idealizmie i materializmie. I tu właśnie wypowiedział się za syntezą: „Były one sprzeczne sobie we wszystkim, jak ręce — prawa i lewa; i nikt nie domyślił się, że jedna i drugą idą z jednej piersi i są konieczne dla całości organizmu". Jako Iskander ogłosił wiele artykułów, nowel i powieści. Studenci przeważnie zaczytywali się głośną powieścią „Kto winien?"

Po latach zesłania Hercen, poddając się woli ojca, był przez pewien czas urzędnikiem państwowym, ale po śmierci ojca otrzymał wielki spadek, porzucił służbę rządową, której nienawidził i która faktycznie nie odpowiadała jego usposobieniu, i wreszcie w początkach 1847 r. przeniósł się za granicę, aby już więcej do tej krainy „morem dotkniętej" — jak nazywał Rosję Mikołaja I — nie powrócić.

Niebawem Hercen stał się świadkiem wielkich zdarzeń historycznych: wybuchu powstania robotniczego w Paryżu w czerwcu 1848 r.; krwawej rozprawy z proletariatem i triumfu kontrrewolucji; wyboru Ludwika Napoleona na prezydenta republiki; jego zamachu stanu w grudniu 1851 r. i ogłoszenia cesarstwa w rok później. Były to wydarzenia, które następowały po sobie szybko po upadku monarchii Orleańskiej. Te przeżycia i wstrząsy Hercen opisał w dwóch przepięknych książkach: „Z tamtego brzegu" i „Listy z Włoch i Francji".

O powrocie do Rosji Hercen nie marzył; jeszcze 1 marca 1849 r. pisał do przyjaciół: „Żegnam was; niechęć nieprzezwyciężona i silny głos jakiś wewnętrzny nie dają mi przekroczyć granic tego państwa mgły, samowoli, milczącego zamierania,

zguby bezwiednej, mąk przy ustach zakneblowanych. Odrywam sę od mego narodu, pozostaję przy tym, w którego życiu współczuję tylko gorzkim łzom proletariatu i rozpaczliwej odwadze przyjaciół jego; wszystko poświęcam godności ludzkiej i wolności słowa. Tu, za granicą, jestem waszym słowem niecenzurowanym, waszym organem wolnościowym; czas też zapoznać Europę z Rosją, niechaj wie, czego się obawiać".

Tak też i było. Hercen wydalony z Francji a nawet ze Szwajcarii, osiadł w Londynie jesienią 1852 r. Tu niebawem nawiązał bliższe stosunki z emigracją polskiej demokracji, a przede wszystkim zaprzyjaźnił się ze Stanisławem Worcellem, jednym z najszlachetniejszych przedstawicieli polskiej myśli demokratycznej i rewolucyjnej.

Właśnie w owym czasie, na gruncie londyńskim Polskie Towarzystwo Demokratyczne wznowiło 15 maja 1853 r. wydawanie pisma „Demokrata Polski", podając do wiadomości czytelników następujące obwieszczenie: „Obok drukarni polskiej Polskiego Towarzystwa Demokratycznego i w połączeniu z nią staje wolna drukarnia rosyjska, założona staraniem i nakładem obyw. Aleksandra Hercena. Obyw. Hercen spełnia tym sposobem najświętszy i najważniejszy obowiązek względem swojej ojczyzny — Rosji i względem całej ujarzmionej Europy".

To przymierze z Rosją rewolucyjną, zawarte przez Demokrację Polską w Londynie, głównie pod wpływem Worcella, w późniejszych czasach stało się potężną dźwignią rewolucyjną w zaborze rosyjskim.

Hercen w swych ciekawych wspomnieniach o Polakach mówi, że wkrótce po przyjeździe do Londynu zbliżył się z człowiekiem, „którego pamięć była mu droga i którego trumnę pomagał nieść do grobu". Był to Stanisław Worcell.

„Ze wszystkich Polaków, do których zbliżyłem się wówczas, on był najsympatyczniejszy i być może najmniej zacięty w swojej niechęci do nas. Nie można powiedzieć, żeby lubił Rosjan, lecz obce mu były wrzaskliwe wyklinania i ograniczona nienawiść. Z nim pierwszym mówiłem o założeniu drukarni rosyjskiej. Wysłuchawszy mnie, chory ożywił się, schwycił papier i ołówek, zaczął obliczać, ile potrzeba czcionek itd. On poczynił główne zamówienia, on mnie zaznajomił z zecerem polskim, Czernieckim, z którym potem pracowaliśmy.

— ,Mój Boże, mój Boże — mówił, trzymając w ręku pierwsze arkusze korekty, — wolna drukarnia rosyjska w Londynie... Ileż złych wspomnień ściera z mej duszy ten kawałek papieru, zamazany farbą drukarską".

— „Myśmy powinni iść razem — powtarzał potem często — nasza droga i nasza sprawa ta sama..., — i kładł wychudłą rękę na moim ramieniu".

Ten starzec, o czystym, jak łza, kryształowym charakterze, ten pełen poświęcenia fanatyk, pierwszy socjalista polski, był dla niego jednym z najściślejszych łączników z emigracją polską. Toteż warto przytoczyć kilka serdecznych słów Hercena o śmierci Worcella.

„W dniu zgonu Worcella czekałem na rzeźbiarza w ubogim pokoiku, gdzie skonał ten męczennik. Stara służąca stała z topniejącym, żółtym ogarkiem w ręku, oświecając wychudłe ciało, przykryte tylko prześcieradłem. On, nieszczęśliwy jak Hiob, zasnął z uśmiechem na ustach, wiara zamarła w jego gasnących oczach, zamkniętych przez takiego, jak on, fanatyka — Mazziniego".

W tym okresie Hercen stał się głośny i ceniony na Zachodzie, ale nie mniej popularny i wpływowy był również i w Rosji. Popularność tę zyskał sobie głównie jako redaktor i wydawca pism tygodniowych: „Gwiazda Polarna" i „Kołokoł" (Dzwon).

Ten okres jego działalności przypada już na pierwsze lata panowania Aleksandra II, kiedy Rosja, zbudzona klęską wojny krymskiej, domagać się zaczęła reform. Wtedy jego pisma dały sygnał do swobodnej i bezwzględnej krytyki i ujawnienia wszelkich błędów starego porządku. Dotychczas nie słyszano takiego języka w Rosji, nikt przedtem tak mistrzowsko nie władał piórem jak Hercen. Śmiałość porywała czytelników i podbijała wszystkie umysły. Program był dość umiarkowany i przez to właśnie skuteczny, a zawierał trzy żądania: wyzwolenie słowa — od cenzury, chłopów — od panów, stanu podatników — od batów!

Powodzenie „Kołokoła" i „Gwiazdy Polarnej" było niesłychane, czytała go cała inteligencja, czytał i car. Słowem, pisma te były tak dalece rozpowszechnione w Rosji, że w samym tylko Niżnim-Nowogrodzie policja przychwyciła w r. 1859 dziesięć tysięcy egzemplarzy, przesyłanych przez zieloną komorę.

I dlatego właśnie Hercen stał się bohaterem myśli wolnej, najbardziej wpływowym człowiekiem w Rosji. Ogłosił tajne dokumenty stanu, jak np. pamiętnik Katarzyny II; rzucił jaskrawe światło na wszystkie złodziejstwa, oszustwa, niegodne i okrutne postępki, popełniane w państwie carów przez urzędników, popów i obszarników.

Już po r. 1860 zaczął jednak wpływ „Kołokoła" upadać. Przyczyny były różne: przede wszystkim gorące popieranie

sprawy polskiej niepodległości; dalej młodzież radykalna już nie zgadzała się z poglądami Hercena — „inwalidy" w jej oczach. Była to już walka młodych i starych o nowy pogląd na świat. Toteż spełniło się dosłownie to, co w 1842 r. Mikołaj Polewoj przepowiedział Hercenowi, gdy zarzucał mu konserwatyzm: „Przyjdzie czas i wam w nagrodę za całe życie prac i trudów byle jaki młodzik z uśmiechem powie: Odstąpcie, wyście człowiek zacofany!"

Hercen okazywał stale wielkie sympatie ujarzmionej Polsce, uważał jej sprawę za swoją własną i za sprawę swych przyjaciół. Ale zbliżała się groźna chwila, zbliżało się polskie powstanie styczniowe. W Warszawie rozpoczęły się manifestacje i Hercen wykrzyknął wtedy w „Kołokole": „Wiwat Polonia!" A 10 kwietnia 1861 r. na międzynarodowym bankiecie emigrantów w Londynie nie wyrwał mu się z ust zamierzony toast: „Za cara Aleksandra II, oswobodziciela chłopów", gdyż stłumiła go wieść o morderstwach w Warszawie. Wśród posępnej atmosfery wywołanej tą wieścią wygłosił Hercen inny toast: „Za wyzwolonego chłopa rosyjskiego" i następnie „Za zupełną bezwzględną niepodległość Polski, za jej wyzwolenie od Rosji i Niemiec i za sojusz braterski Rosjan z Polakami!"

Rewolucjoniści polscy na emigracji umieli ocenić szlachetne życzenia Hercena. Ze wspomnień jego dowiadujemy się, że otrzymał od Polaków-emigrantów adres, zaopatrzony 471 podpisami z wyrazami przyjaźni, i wdzięczności za sprawiedliwe stanowisko zajęte przez niego w sprawie polskiej. Nieco później —o d Polaków z Algieru z 46 podpisami.

W r. 1862 przybyli do Londynu dwaj członkowie Komitetu Centralnego, Zygmunt Padlewski i Agaton Giller, aby ostatecznie wyjaśnić stosunki, jakie panowały między rewolucjonistami polskimi i rosyjskimi. Przywieźli oni z sobą list Komitetu Centralnego do Hercena, jako redaktora „Kołokoła", będący wyznaniem wiary społeczno-politycznej organizacji polskiej. Na list ten Hercen odpowiedział w „Kołokole" odezwą „Do oficerów rosyjskich w Polsce", gdzie zaklinał ich, by nie podnosili broni przeciwko Polakom. „Męska, otwarta odezwa Komitetu Warszawskiego — pisał Hercen — zdjęła nam kamień z piersi, odrzuca on całkiem dążności stanowo-szlacheckie i wyraźnie stawia hasła uwłaszczenia chłopów i niepodległości kraju. W imię tych demokratycznych zasad niech rewolucjoniści rosyjscy podadzą bratnią rękę Polakom i niech razem z nimi walczą z potwornym rządem despotów carskich".

Nawołując do łączenia się, Hercen nie wierzył jednak w powodzenie powstania, nie łudził się, jak łudził się przez pe-

wien czas Michał Bakunin, że w Rosji wybuchnie powstanie chłopskie pod hasłem „ziemi i wolności'"; nie wierzył też, aby wojsko rosyjskie w Polsce okazało pewne sympatie dla sprawy polskiej. Toteż starał sę Hercen odwieść Polaków od powstania, przekonywał, że czas na nie jeszcze nie nadszedł. Ale siła wypadków była silniejsza od wszelkich argumentów; kropla przepełniła czarę goryczy, nastąpiła owa ohydnej pamięci branka wojskowa margrabiego Wielopolskiego — i powstanie wybuchło z całą mocą.

Podczas gdy w Polsce krew płynęła strumieniami, Hercen pozostał wierny sprawie wolności, sprawie polskiej. W całym szeregu wspaniałych artykułów, pełnych szlachetnego patosu, gromił okrucieństwa caratu, bezecne agitowanie do mordów ze strony publicystów rosyjskich — i pełen podziwu malował męczeństwo i bohaterstwo Polski.

„Tak, Bracia Polacy, — pisał Hercen w r. 1863 — czy zginiecie w swoich dziewiczych lasach mickiewiczowskich, czy wrócicie wolni do wolnej Warszawy, świat nie odmówi wam podziwu. Czy rozpoczynacie nową erę niepodległości i postępu, czy swą śmiercią kończycie wiekową, bezprzykładną walkę — jednakoście wielcy. Chwała wam!"

Z biegiem czasu na widowni życia rosyjskiego zjawiali się inni ludzie, nastawieni nihilistycznie, rewolucyjnie i reakcyjnie. Głosu Hercena słuchano coraz mniej. Dawny mistrz, władca serc i umysłów, tracił wpływ. Liczba czytelników „Kołokoła" stale się zmniejszała. A wśród tych walk z rozlewu krwi coraz głośniej zaczęły się rozlegać ohydne słowa Michała Katkowa. Był to urodzony demagog, zacięty szowinista, który opanował umysły i stał się bardzo wpływowym człowiekiem w Rosji. Ów niegdyś liberał, druh Hercena, wystąpił w roli zbawcy Rosji, stał się reakcjonistą i obrońcą rządów carskich.

Kiedy wybuchło powstanie styczniowe, Katkow przedstawił Polaków jako burzycieli ładu społecznego. Poczuł, że zbliża się chwila zmiany frontu i przełamał milczenie, które nakazane była całej prasie rosyjskiej odnośnie do jego dawnych wygnanych przyjaciół: Hercena, Ogarowa i Bakunina. Napadł na nich otwarcie, jako na wrogów ojczyzny i moralnych sprawców wszelkich zaburzeń. Był to już olbrzymi cios, zadany wpływom Hercena wśród kulturalnej warstwy rosyjskiej. Nastąpiła w całej pełni reakcja przeciw myśli wolnej. Katkow triumfował nad Hercenem, który pozostał już za sferą właściwego ruchu rewolucyjnego w Rosji.

Po przeniesieniu się do Genewy, Hercen wydawał jeszcze jakiś czas „Kołokoł" po rosyjsku, potem po francusku; widząc

jednak, że zupełnie stracił popularność w Rosji, zawiesił wydawnictwo. „Tak czy owak „Kołokoł” wyście zabili; może Polacy mają słuszność, ależ ich sprawa szlachecka, nie wasza; nie ulitowaliście się nad nami” — mówił mu współpracownik Martianow, zanim wydał się w ręce rządu, by zginąć w więzieniu.

Ostatnie lata życia Hercena, były okresem zupełnego osamotnienia i rozczarowania. Zmarł w Paryżu 20 stycznia 1870 roku.

Mówiąc językiem Stanisława Brzozowskiego, Hercen żyje, bo żyje wszystko, co napisał. Żyje on jako dokument, w którym Rosja zamykała romantyczny okres dziejów swej inteligencji. Odtąd to, co w tej inteligencji jest żywe, występuje jako przednia straż i narzędzie myśli klasy pracującej. Turgieniew prawdę powiedział, że Iskander - Hercen pisał łzami i krwią i że nikt po nim w Rosji nie pisał już tak, jak on.

Pisząc o Hercenie, widzimy jasno trzy pokolenia, trzy klasy czynne w rosyjskiej rewolucji: szlachta i ziemianie, dekabryści i Hercen. Ciasny jest krąg tych rewolucjonistów. Dalecy oni od ludu, lecz ich dzieło nie przepadło. Dekabryści wydali Hercena, który za pośrednictwem „Gwiazdy Polarnej” i „Kołokoła” rozwinął silną propagandę rewolucyjną. Pochwycili ją i umocnili rewolucjoniści i nihiliści, poczynając od Mikołaja Czernyszewskiego i kończąc na bohaterach Narodnej Woli. Oni bowiem tworzyli kadry bojowników, bliżej związanych z ludem. „Młodzi szturmani przyszłej burzy” — nazywał ich Hercen. Burza ta rosła latami, dziesiątkami lat, aż wreszcie nadeszła z całą siłą mocy w roku 1917. Naród rosyjski, zrzuciwszy z siebie kajdany niewoli, poszedł daleko naprzód i zajął należne mu miejsce wśród innych narodów świata.

Aleksander Hercen, ten mocarz stylu i pióra, był bezwiednym prorokiem swego narodu. Jeszcze w przededniu zniesienia pańszczyzny, pisał te słowa: „Petersburg ogłosi republikę w koszarach Preobrażeńskich, Moskwa zaś — demokratyczno-socjalny Kreml”. Słowem był to prawdziwy jasnowidz, serce braterskie, ofiara sprawy polskiej. Za to niech imię jego będzie uwiecznione złotymi zgłoskami w dziejach naszych walk o niepodległość.

JERZY BRZĘCZKOWSKI

Wywiady, których nie było

Nie jestem, niestety, korespondentem dyplomatycznym żadnej ajencji prasowej, ani żadnego pisma — a tak by mi się chciało przeprowadzić kilka wywiadów.

Z tymi największymi.

Wyobrażam ich sobie, w naiwności seryjnego laika, jako kierowców jakiejś olbrzymiej, skomplikowanej maszyny, pochylonych z uwagą pilota-wyścigowca nad kierownicą; z napiętą, bladą twarzą i stalowymi przymrużonymi oczami, utkwionymi w błękitniejącą stalową kresą dal.

— Co myślą?

— Co widzą?

Jak wyobrażają sobie naszą przyszłość. Naszą — szarych ludzi. Tych X... milionów, którym zdaje się (może niesłusznie?), że od woli „tamtych", od ich światłego spojrzenia na przeszłość i teraźniejszość, od ich wnikliwego rzutu w przyszłość — zależy nasze małe, skromne, ot, zwyczajne życie.

Słyszeliśmy, że:

„Narody albo muszą wyrzec się wojny, albo przestać istnieć".

Więc?

— Czy panowie się wyrzekacie, czy też... my mamy przestać istnieć?

Pisał W. Beveridge w „Times'ie":

„Decyzja użycia bomby atomowej doprowadziła świat do konieczności zlikwidowania wojny".

To samo pomyślał zapewne roznosiciel wody sodowej w Buenos Aires. A jeśli słyszał o działaniu bomby — to i poganiacz mułów w Addis Abebie.

I ja, pospolity cywil.

— Czy Excelencja uczyniła już coś, by ją „zlikwidować"?

— A jeśli uczyniła, to co?

Generałowie sztabów wszystkich krajów nie zaprzestali bynajmniej „urzędowania", koszary zapełniają się — i niewątpliwie nadal zapełniać się będą — nowym mięsem... jakby je nazwać? — no, chyba „atomowym".

Bo my, malutcy, uczynilibyśmy chętnie wszystko w tej mierze. My umieraliśmy cichutko, bez bohaterskich gestów (i przemówień), na brzegu Wisły i Sekwany, w czerwonych piaskach Afryki i śniegach Narviku, pod Monte Cassino i w dusz-

nych, zawiłych uliczkach Starego Miasta niejakiej Warszawy nie wymienionej, niestety, przez zapomnienie którejś excelencji w aktach oskarżenia przeciwko wielkim zbrodniarzom wojennym.

— A propos, czy Excelencja przypomina sobie wiązankę kwiatów, zrzuconych z alianckiego samolotu w bukiet płonącej Warszawy w sierpniu?

Ale od tego czasu było tyle konferencyj! Excelencja sobie nie przypomina... Nie pamięta... To wyglądało, nieprawdaż, jakby kwiaty na grób Nieznanego Żołnierza? Najzupełniej nieznanego. Excelencja wybaczy, Excelencja nie ma czasu, protokół dyplomatyczny nie dopuszcza. Konferencja za Atlantykiem, konferencja w Moskwie, być może znowu w Persji, na Kaukazie? A tu pytania tak rozdymają wargi, tak nieprzystojnie, jakby wrzód narastał w ustach i tryskał ropą.

— Dlaczego flota kraju Waszej Excelencji musi pozostać na poziomie panowania nad morzami?

„...no, bo przecież nie można rzucać w każdego opornego bombą atomową!" —

Najzupełniej słusznie. Produkcja atomowych pocisków jest niezmiernie kosztowna. Teren przez dłuższy czas po ich użyciu nie nadaje się do „pokojowej eksploatacji"...

— I, bodaj ostatnie: czy to prawda, Excelencjo, że dwie bomby, które starły z powierzchni ziemi dwa miasta japońskie i wraz z nimi coś tam 300 czy 400 tysięcy ludzi, były rzucone „dla eksperymentu" wobec „sprzyjających warunków atmosferycznych"... czy też może to tylko był argument dyplomatyczny dla ewentualnego innego opornego?

. . . .

Oczywiście, jestem naiwny. Nie jestem korespondentem dyplomatycznym. Takich pytań się nie zadaje. Poza tym, już była na nie dana odpowiedź.

Prawdziwe wywiady wyglądają tak:

Dekoracja: olbrzymie biurko (symbol pracy), dwa — trzy malutkie krzesełka (spartańska prostota), sekretarka osobista — hoże dziewczę, dostosowane do wszelkich kierunków politycznych, zawsze rządowych. Wynosi się z lekko urażoną godnością z teczką maszynopisów. To znaczy — Excelencja był przez cały czas zajęty i w dalszym ciągu nie ma czasu.

Excelencja — przystojny, starszy pan, o włosach z lekka przyprószonych siwizną. Dziennikarz — taki sobie pan, z lekka łysawy. Obaj dobrze wychowani. Jeden — zupełnie „nieuprzedzony". Drugi — uprzedzany, i to bardzo, przez kogo należy i gdzie należy.

Poza tym, ten drugi może być z prasy „zaprzyjaźnionej", lub — niekoniecznie.

„Zaprzyjaźniony" otrzymuje po prostu referat excelencji w kopercie i prawo upstrzenia go sobie pytaniami w dowolnym miejscu. Excelencja bowiem woli zrobić wywiad sam ze sobą w ciszy własnego gabinetu i odpowiedzieć wnikliwie na podchwytliwe pytania własnego notesu.

Niezaprzyjaźniony wysłuchuje tegoż referatu w formie mówionej.

...uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby przedłożyć Zjednoczonym Organizacjom Narodów, by Narody Miłujące Pokój...

— „A „nie-miłujące?" — wyrywa się dziennikarzowi. Excelencja, oczywiście, nie dosłyszał.

...zgodziły się pod kontrolą Międzynarodową przestrzegać każdorazowo jednogłośnej uchwały...

— A jeśli nie będzie jednogłośna? — otwiera usta dziennikarz.

— A jeśli — decyduje się wreszcie najbardziej dyplomatyczny korespondent na najwyszukańszą dyplomatycznie formę pytania — jeśli któryś z tych mniejszych, nie dostrzeganych, a tak bardzo miłujących pokój, znajdzie się przypadkiem w sferze „uzgodnionych jednomyślnie decyzyj", czy będzie zapytany o...

— Wynika to z ducha moich poprzednich wypowiedzi!— uprzejmie kłania się excelencja, jednocześnie z lekka unosząc się z miejsca.

Dziennikarz kłania się i dziękuje: u siebie w domu znajdzie już później ten „duch" — u b i v u l t, i wytłumaczy go swym czytelnikom.

. . . .

Nie, nie umiem snać odtworzyć całej dostojności prawdziwego politycznego wywiadu. Brak mi barw. Precyzji zawiłego dialogu. Zresztą, to tylko przecież urojenia.

I znowu czytam, pospolity zjadacz bibuły — i jej iluzyj:

„Generał-major Leslie Groves, kierownik prac nad bombą atomową, oświadczył w Nowym Jorku, że Stany Zjednoczone muszą utrzymać wynalazek w tajemnicy do chwili, kiedy świat dojrzeje do stosowania w polityce metod porozumienia, moralności i prawa zamiast siły" —

Chodzę więc, i dojrzewam. Ale czy świat razem ze mną dojrzewa?

. . . .

Zamyślony przechodzę ulicami Warszawy. Omijam ostrożnie kratery po ½ tonowych bombach (zaledwie pół-tonowych!) na Placu Napoleona. Gdy podnoszę zlepione pierwszym śniegiem rzęsy — widzę rozszczepiony pytajnik Prudentialu, wsparty o zimowe już, śnieżne niebo. Ostatni spróchniały ząb strzaskanej szczęki.

Na stosie ocalałych z dawnej barykady tafli chodnika siedział ktoś w żołnierskiej, wyszarzałej kurcie, podparłszy rękę i brodę o rękojeść kuli. Kikut drugiej nogi sztywno sterczał przed nim. Obszedłem go dwa razy, nie zauważył. Początkowo wziąłem go za żebraka. Patrzał uważnie na sam szczyt Prudentialu, zasnuty śnieżycą, jakby obliczał jego wysokość. Szaro-białą ciszę przekreślił huk motoru zbliżającego się samolotu; czarną, wydłużoną bryłą przeciął siwe niebo nad placem; i zdawało się, ruiny przycupnęły w trwodze, jak kuropatwy w zaśnieżonej bruździe pod przelotem krogulca. Żołnierz-żebrak zatoczył na nim półkole obracającą się, chudą twarzą, ku górze, i znów spoczął wzrokiem na pytajniku Prudentialu. Zdaje się, nie liczył na datki, bo i plac był pusty; tylko my dwaj.

Wobec tego ja zdecydowałem się poprosić o datek. Tu nas nikt nie widział, i wstyd mojej ciekawości będzie ukryty wśród ośnieżonych rumowisk.

Tak, to mój partner do wywiadu; nie urojony. Podszedłem cicho i stanąłem za nim. Nie zdejmował z ruin oczu szarych jak niezamarzająca woda, w obramieniu oblepionych śniegiem rzęs.

ZOFIA NAŁKOWSKA

Przy torze kolejowym

(M E D A L I O N Y).

Należy do tych umarłych jeszcze jedna, ta młoda kobieta przy torze kolejowym, której ucieczka się nie udała.

Daje się poznać już dziś tylko w opowiadaniu człowieka, który to widział i który nie może tego zrozumieć. I żyje też już tylko w jego pamięci.

Wiezieni długimi pociągami w zaplombowanych wagonach do obozów zniszczenia uciekali niekiedy w drodze. Ale niewielu się na taką ucieczkę ważyło. Wymagało to odwagi większej, niż tak bez nadziei, bez sprzeciwu i buntu jechać na pewną śmierć.

Ucieczka udawała się niekiedy. W ogłuszającym łoskocie pędzącego towarowego wagonu nikt zzewnątrz nie mógł usłyszeć, co we środku się dzieje.

Jedynym sposobem było wyłamanie desek z podłogi wozu W ciasnocie stłoczonych ludzi, zgłodniałych, cuchnących i brudnych, rzecz zdawała się prawie niewykonalna. Trudno było się nawet poruszyć. Zbita masa ludzka, miotana rwącym rytmem pociągu, zataczała się i kołysała w dławiącym zaduchu i ciemności. Jednak nawet ci — zbyt słabi i lękliwi, — którzy nie mogli marzyć o ucieczce, rozumieli, że innym trzeba to ułatwić. Odchylali się, przywierali do siebie, unosili powalane nawozem stopy, by otworzyć drogę do wolności innym.

Podważenie deski z jednej strony już było początkiem nadziei. Trzeba ją było oderwać zbiorowym wysiłkiem. To trwało godziny. A wtedy zostawała do oderwania druga i trzecia deska

Najbliżsi pochylali się nad wąskim otworem i cofali z lękiem. Trzeba było zebrać się na odwagę, by — próbując rękami naprzemian i nogami, — wypełznąć przez wąską szczelinę ponad łomotem i zgrzytem żelastwa, w wichrze dmącego spodem powietrza, ponad przemykającymi podkładami — dopaść osi i w tym uczepie przepełznąć rękami do miejsca, w którym skok dawałby prawdopodobieństwo ratunku. Wypaść pomiędzy szyny lub poprzez koła na brzeg toru — różne były sposoby. A później oprzytomnieć, stoczyć się niewidzialnie z nasypu i uciekać w obcy, nęcący ciemnością las...

Ludzie wpadali pod koła i często ginęli na miejscu. Ginęli, uderzeni wystającą belką, kantem zasuwy, rzuceni pędem o słup

sygnału czy przydrożny kamień. Albo łamali ręce i nogi, wydani w tym stanie na wszelkie okrucieństwo wroga.

Tym, którzy ważyli się zestąpić w huczącą, rozpędzoną, łomoczącą czeluść, było wiadomo, na co idą. I wiadomo było tym, co zostali, — chociaż z zasuniętych drzwi ani z wysokiego okienka nie było sposobu się wychylić.

Kobieta, leżąca przy torze, należała do odważnych. Była trzecią z tych, którzy zestąpili w otwór podłogi. Za nią stoczyło się jeszcze kilku. W tej samej chwili nad głowami podróżnych rozległa się seria strzałów — jakby coś wybuchało na dachu wagonu. I zaraz strzały umilkły. Ale jadący mogli teraz patrzyć na ciemne miejsce po wyrwanych deskach, jak na otwór grobu. I jechać spokojnie dalej w stronę własnej śmierci, która czekała ich u kresu drogi.

Pociąg oddawna zniknął w ciemnościach ze swym dymem i łoskotem, naokoło był świat.

Człowiek, który nie może zrozumieć i nie może zapomnieć, opowiada to jeszcze raz.

Gdy się rozwidniło, kobieta, ranna w kolano, siedziała na zboczu nasypu kolejowego, na wilgotnej trawie. Ktoś zdołał uciec, ktoś dalej od toru, pod lasem, leżał bez ruchu. Uciekło kilku, zabitych było dwuch. Ona jedna została tak — ani żywa, ani umarła.

Gdy znalazł ją, była sama. Ale powoli zjawili się ludzie w tym pustkowiu. Nadchodzili od strony cegielni i ode wsi. Stawali lękliwie, patrzyli z oddalenia — robotnicy, kobiety, jakiś chłopiec.

Co chwilę tworzył się niewielki wianuszek ludzi, którzy stając, oglądali się niespokojnie i prędko odchodzili. Przychodzili inni, ale też nie zatrzymywali się dłużej. Rozmawiali zcicha między sobą, wzdychali, jakoś się naradzali, odchodząc.

Rzecz nie przedstawiała wątpliwości. Jej kręte, krucze włosy były rozczochrane w sposób zbyt wyraźny, jej oczy przelewały się zbyt czarno i nieprzytomnie pod opuszczonymi powiekami. Do niej nie odezwał się nikt. To ona zapytała, czy ci, co leżą pod lasem, nie żyją. Dowiedziała się, że nie żyją.

Był biały dzień, miejsce otwarte, zdala zewsząd widoczne. Ludzie zwiedzieli się już o wypadku. Czas był wzmożonego terroru. Za danie pomocy lub schronienia groziła pewna, natychmiastowa śmierć.

Jednego młodego człowieka, który stał dłużej, później odszedł na parę kroków i znowu wrócił, poprosiła, by przyniósł jej z apteki weronalu. Dała pieniądze. Odmówił.

Chwilę leżała, zamknąwszy oczy. Znów usiadła, poruszyła nogą, ujęła ją w obie ręce, usunęła z kolana spódnicę. Ręce miała zakrwawione. Ten wyrok śmiertelny na nią, uwięzły w jej kolanie, tkwił tam, jak gwóźdź, którym przybita była do ziemi. Leżała długo i spokojnie, oczy zbyt czarne mocno zakryła powiekami.

Gdy je wreszcie odsłoniła, zobaczyła wokół siebie nowe twarze. Ale ów młody człowiek jeszcze stał. Wtedy poprosiła, by kupił jej wódki i papierosów. Wyświadczył jej tę przysługę

* * *

Gromadka na zboczu nasypu ściągała uwagę. Wciąż ktoś nowy się przyłączał. Leżała pośród ludzi, ale nie liczyła na pomoc. Leżała, jak zwierzę, ranne na polowaniu, które zapomniano dobić. Była pijana, drzemała. Nieprzeparta była ta siła, która odgradzała ją od nich wszystkich murem przerażenia.

Mijał czas. Stara wieśniaczka, która była odeszła, zdążyła wrócić. Była zdyszana. Podeszła blisko i wyjęła spod chustki ukryty blaszany kubek mleka i chleb. Nachyliła się, pospiesznie włożyła to w ręce zranionej i zaraz odeszła, by tylko z daleka popatrzyć, czy wypija. Dopiero kiedy zobaczyła idących od miasteczka dwuch policjantów, zniknęła, zasłaniając twarz chustką. Inni rozeszli się też. Tylko ten jeden małomiasteczkowy frant, który przyniósł wódki i papierosów, dotrzymywał jej wciąż jeszcze towarzystwa. Ale ona nie chciała już od niego nic więcej.

Policjanci podeszli poważnie zobaczyć, co to jest. Zrozumieli sytuację, naradzali się, co mają zrobić. Zażądała, by ją zastrzelili. Umawiała się o to z nimi półgłosem, byle nie dawali nigdzie znać. Nie byli zdecydowani.

Odeszli i oni, rozmawiając, przystając i znów idąc dalej. Nie było wiadomo, co postanowią. Ostatecznie nie zechcieli jednak spełnić jej żądania. Zauważyła, że poszedł z nimi ten uprzejmy młody, który podawał jej ogień do papierosów zapalniczką, nie chcącą się zapalić. I któremu powiedziała, że jeden z tych dwuch zastrzelonych pod lasem to jej mąż. Wydawało się, że ta wiadomość była mu nieprzyjemna.

Sprobowała napić się mleka, ale po chwili w zamyśleniu odstawiła kubek na trawę. Przetaczał się ciężki, wietrzny dzień przedwiosenny. Było chłodno. Za pustym polem stało parę domków, z drugiej strony kilka niedużych, chudych sosen zamiatało gałęziami niebo. Las, do którego mieli uciec, zaczynał się dalej od toru, po za jej głową. To pustkowie było całym świa-

tem, który oglądała. Młody człowiek wrócił. Znowu popiła wódki z butelki, a on podał jej ognia do papierosa. Lekki ruchomy zmierzch nasuwał się na niebo od wschodu. Na zachodzie kłębki i smugi chmur wstępowały bystro ku górze.

Nowi ludzie przystawali, wracający z roboty. Dawniejsi objaśniali tych nowych, co się stało. Mówili tak, jakby nie słyszała ich wcale, jakby jej już nie było.

— To jej mąż tam leży zabity — mówił kobiecy głos.

— Uciekli z pociągu w ten lasek, ale strzelali za nimi z karabinu. Zabili jej męża, a ona się tu sama została. W kolano ją trafiło, nie mogła dalej uciekać...

— Żeby tak z lasu, to by ją było łatwiej gdzie wziąć. Ale tak, na ludzkich oczach — nie ma sposobu.

To mówiła stara kobieta, która przyszła po swoją blaszaną kwartę. W milczeniu popatrzyła na mleko, rozlane w trawie.

Tak więc nikt nie zapragnął zabrać jej stąd przed nocą, ani wezwać doktora, ani odwieźć do stacji, skąd mogłaby pojechać do szpitala. Nic takiego nie było przewidziane. Szło już tylko o to, aby tak lub inaczej umarła.

Gdy otworzyła oczy o zmierzchu, nie było już przy niej nikogo, prócz dwuch policjantów, którzy wrócili i tego jednego, który już teraz nie odchodził wcale. Znowu powiedziała, by ją zastrzelili, ale już bez wiary, że to zrobią. Obie ręce położyła na oczach, żeby już nic nie widzieć.

Policjanci jeszcze wahali się, co mają zrobić. Jeden namawiał drugiego. Tamten odrzekł:

— To ty sam.

Ale usłyszała głos tego młodego:

— No to daj pan mnie...

Drożyli się jeszcze i spierali. Spod uchylonej powieki zobaczyła, jak policjant wyjął rewolwer z futerału i podał nieznajomemu.

Ludzie, małą grupką stojący dalej, widzieli, jak nachylił się nad nią. Usłyszeli strzał i odwrócili się ze zgorszeniem.

— Już mogli lepiej wezwać kogo, a nie tak. Jak tego psa.

* * *

— Dlaczego on do niej strzelił, to nie jest jasne, — mówił opowiadający. — Tego nie mogę zrozumieć. Właśnie o nim można było myśleć, że mu jej żal...

ROMAN BRATNY

PAMIĘTNIK

13.XII.44.

...To wszystko trwa za długo. Rana na głowie jest prawie zupełnie zagojona. Ci durnie, lekarze, myślą, że nie wiem. Robią tajemnicę. Tymczasem gdyby jasno powiedzieli, byłoby lepiej. Wiedziałbym przecież wtedy, co z tego, co widzę i myślę, dzieje się naprawdę. A gdybym już wiedział, co jest naprawdę a co sobie tylko wyobrażam, to byłbym właściwie zdrów.

Przecież dziś na przykład czuję się naprawdę dobrze. Dziwne jest tylko, że Anglik za ścianą krzyczy tak cicho. Kiedy przyjechał tydzień temu, to jak go brali na pasy — bo on ma plecy, zadek i piersi podarte granatem, mówią, że i brzuch też — więc wisi na pasach — to jak go brali na linki, wył tak, że tynk się sypał z sufitu, jak śnieg.

Siostra mówiła, że mi się zdaje.

Skoro uważają mnie za wariata, łatwo się z wszystkiego wytłumaczyć, bo dbać o chorych nie chcą.

Ten tam dziś krzyczy tak cicho, że powinienem właściwie sprawdzić, czy mi się to tylko nie zdaje.

Ach, te szyby brudne, te druty! Właściwie przez to wszystko tylko zaczynam pisać pamiętnik.

Jestem w szpitalu, w lazarecie, w niewoli, byłem ranny w głowę, miałem trepanację jeszcze w Warszawie; i po tym tu leżę.

Wygodnie tu, tylko trochę mało dają jeść.

I ten kapitan, z którym leżę — mamy razem separatkę ja i on, jedyną w tym szpitalu — ten kapitan działa mi na nerwy. Nie ma w tym jego winy: po prostu on i siostra Marta...

Ale o niej jeszcze nic nie pisałem. Siostra Marta i kapitan kochają się. Są zresztą piękną parą.

Teraz napiszę o siostrze Marcie: jest wysoka, zgrabna, pięknie się uśmiecha, ma ładne włosy.

Denerwują mnie oni tylko ze względu na to, że gdy na nich patrzę, przypomina mi się Danusia. Jak ona się nim opiekuje!

Nie lubię tego, bo przypomina mi to Danusię.

Dziś jeszcze denerwuje mnie, że ten krzyk taki słaby — nie wiem czy to nie złudzenie. Przekonam się dopiero podczas obiadu, gdy Stefka będą karmić. Porównam ich głosy.

Tak się złożyło, że doskonale zawsze wiem. kiedy zbliża się pora obiadu — chociaż już nie mam zegarka.

W sąsiedniej izbie za ścianą mamy bardzo ciekawy wypadek: postrzał w szczękę. Strzaskana, rozwalona kość, na pozór beznadziejna historia. I ten Stefek, młody chłopaczek, dawno by zresztą umarł, gdyby nie to, że jest z nim ojciec — starszy oficer, po amputacji lewej dłoni. To on karmi chłopaka, on go właściwie pilnuje i leczy. Na pół godziny przed naszym obiadem, dostaje jakąś papkę. Kiedy ją ładują chłopakowi rurka przez nos, drze się i jęczy, charkocze, cholera wie, co wyprawia— chrapie — tak go już trzeci miesiąc ładują.

Zawsze na pół godziny wcześniej wiem, że wkrótce będzie obiad mimo, że nie mam zegarka.

Z tym zegarkiem było tak: obok nas jest lazaret jeńców bolszewików, oni tam mieli, diabli wiedzą skąd, więcej chleba— i oni zegarki kupowali. Można było nawet z początku 4 bochenki za dobry szwajcarski dostać. Długo nie chciałem sprzedać, żeby Danusi nie było przykro, gdy wrócę bez pamiątki od niej

Dopiero, gdy mi się całkiem polepszyło i zdałem sobie sprawę, że Danusia nie żyje, wtedy sprzedałem.

Dostałem tylko 3 chleby. Właściwie 4, ale że Marta to z nimi załatwiała, a głodna na pewno jest i ona i kapitan, więc ich poczęstowałem 1 bochenkiem. Dopiero potem dowiedziałem się skąd oni biorą chleb. Tam jest 1 blok suchotników — co dzień tam 1 — 2 umiera, oni takiego nakrywają kocem i leży obok żywych na pryczy, a jego porcję chleba fasuje sąsiad. Tak przez parę dni, aż tamten cuchnie, że w izbie wytrzymać nie mogą — wtedy się go wyrzuca.

No i chleba mają trochę więcej, jeszcze coś z kuchni ukradną. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, bo byłoby przykro...

...Ale wracam—choć nie mam zegarka, dzięki Stefkowi zawsze wiem, kiedy obiad się zbliża. Ledwo Stefek skończy swoje picie, karmią Anglika — też wyje wtedy mocniej.

I zaraz do mnie Marta przynosi. Już niedługo.

Muszę się jeszcze przejść przed obiadem. Nie lubię wkładać swego frencza — niepotrzebnie naszyłem wstążeczkę Virtuti — to mi zawsze przypomina ranę. A teraz wstyd trochę, że przez to Virtuti o mało nie zostałem obłąkany.

A i tak mnie tych kilku durniów lekarzy uważa za wariata.

Inni zdobyli Virtuti — choć nikt do nich nie strzelał — to niedołęstwo z mojej strony, psiakrew, że ze mną nie tak było.

A ci durnie lekarze, teraz się uparli.

A przecież sam, gdy rana się już goiła, zwróciłem się do siostry Marty, że trzeba coś zrobić, żeby mnie jeszcze ze szpitala nie wypisali, sam jej powiedziałem, czy by nie mogła poddać lekarzom, że jestem trochę nienormalny. I te bałwany uwierzyły od razu — nie wiem, co im nagadała.

Gdy myślę o tym wszystkim, nie lubię swego Virtuti. Zresztą i tak nadali mi go „pośmiertnie", pewni byli, że już nie żyję. Właściwie to nie wiem, czy mam teraz prawo nosić pośmiertne odznaczenie, kiedy przecież żyję!

Takie to zwariowane...

O swoim czynie, którym się tak zachwycali, dowiedziałem się dopiero z tym krzyżem „pośmiertnym" na piersiach. Gdybym umarł, to bym nawet nie wiedział co bohaterskiego zrobiłem. Inna rzecz, że gdybym umarł, to bym nic chyba już nie wiedział.

A o tym to dowiedziałem się dopiero w szpitalu, kiedy Henryk przyniósł mi krzyż.

Było tak: gdyśmy podchodzili nocą pod szkołę, dostaliśmy parę granatów z piętra pod nogi. Wtedy mi odłamek rozcharatał łeb. Oni zaraz uciekli do przełazu, tam się skłębili wszyscy, bo przejście w murze było niskie i ciasne. Ja leżałem — ściskając Thompsona, raptem ciężkiego jak cholera. Potem wiem, że nie mogłem trafić do dziury przełazu, a tamci ze szkoły prali po murze aż trzaskało. Resztę opowiedział mi już Henryk w szpitalu, jak mi ten krzyż przynieśli. Gdy się zebrali po tamtej stronie przełazu i Henryk opanował... widzą, że mnie nie ma.

Chcą wracać we dwóch po mnie, czy po ten peem właściwie. Podchodzą — a tu rusza się ktoś w tej dziurze... lezie, wyłazi—świecą latarką: ja stoję, krew mi się ze łba leje, kość odstaje z czaszki, że mózg biało świeci, stoję, podaję im tego cholernego peema i mówię: „broń, broń macie!" — i wtedy zemdlałem. Myśleli, że ze mnie nic nie będzie i tak dostałem „pośmiertne odznaczenie".

Właściwie dopóki żyję, to nie mam chyba prawa go nosić. Wszystko to takie zwariowane, że muszę teraz uważać, żeby się nie przyzwyczaić do tych dziwnych wariactw.

I tak tam — tych kilku bałwanów uważa mnie za wariata. Co jednak z człowieka robi przyzwyczajenie. Przyzwyczaiłem się, że lekarze wiedzą lepiej i choć sam ich nabrałem, jak bym się bał, że oni mają rację, uważając mnie za wariata.

...Dzisiaj Anglik rzeczywiście cieniej śpiewa, tam za ścianą... Chyba się chłop wykończy.

Muszę jednak dziś wyjść jeszcze przed obiadem.

14.XI.44 r. godz. 11.30.

Wczoraj tak nagle przerwałem pisanie. Po wizycie lekarza fatalnie się poczułem — usłyszałem jak ten młody mówił do Marty, żeby bardzo na mnie uważać. Dureń.

Okazuje się, że z tym Anglikiem wcale mi się wczoraj nie zdawało. Rzeczywiście jest coraz słabszy. A dziś też tak zaczyna cicho. Nawet chyba ciszej niż wczoraj. Coś mi się zdaje, że on w ogóle wkrótce przestanie.

Z moim pisaniem za późno zaczynam — razem z Anglikiem, z jego jękiem. Obiad mi znów może przeszkodzić, a dziś mam opisać wszystko najważniejsze, i o Danusi.

Właściwie może jednak byłoby lepiej nie zaczynać przed obiadem. Już Stefek powinien zacząć — chyba już jego papkę przynieśli.

Nie będę pisał o Danusi nim nie będę miał już spokoju.

Ach, te szyby brudne!

Właśnie stary od Stefka idzie. Skacze przez kałuże, macha kikutem. O, do licha! cóż to? widocznie jeszcze czas, że nie czeka przy Stefku na obiad.

A Anglik już znowu jęczy.

Czy mi się psiakrew, nie zdaje?...

15.XII.44 r. godz. 11.30.

Wczoraj nic nie napisałem, ale też po tym, co zobaczyłem... Poszedłem zobaczyć, jak jest z Anglikiem. Już go karmią — jęczy. Idę do Stefka. Patrzę — a chłop siedzi na łóżku, łychę ma w garści, miskę z papką na kolanach — rusza swoją krzywą olbrzymią szczęką. A dookoła sanitariuszki aż przysiadają, tak chichoczą.

Widzę, że to nie papka, — t a k! żre z michy swego ojca — kawały brukwi tą szczęką olbrzymią — cholera ona — szarpie się ku mnie — ledwo się uchyliłem, wpadłem na korytarz, a za mną pisk sanitaruszek. Gdy wróciłem, spocony biegiem, zaraz za mną wpada Marta i opowiada mnie i kapitanowi, jak to Stefek nie mógł się ojca doczekać i sam spróbował jeść i bez rurki gładko...

Dopiero wtedy przekonałem się, że wszystko jest w porządku, nic mi się nie zdawało — takie to wszystko pomieszane.

Miałem dziś pisać o Danusi. Pomyśleć, że nie mam żadnej Jej fotografii. Wolę nie pamiętać dlaczego. Ale właściwie przecież pamięć mam w porządku — muszę pamiętać, głupio, że boję się przypomnieć.

Jakie piękne były te zdjęcia z zeszłego lata. Słoneczne — to się widziało już z samego negatywu.

Pamiętam jak się Danusia cieszyła przy wywoływaniu. Dziwnie wyraźnie pamiętam: cienie z plamy słonecznej na negatywach — jej ciemną twarzyczkę z uśmiechem. Pamiętam jakeśmy ze śmiechem wieszali wywołane błony na powietrzu, na krzakach róż, by przeschły.

I idiotyzm tego, co się stało taki wielki, że się wstydzę pisać. Wygląda jakbym był szalony.

Bo kozy przyszły, kozy dozorcy naszej willi, i zjadły z krzaka te błony. To były ostatnie fotografie przed tym wszystkim.

A Danusia — jakże to można opisać?

Jak świecę zdmuchnęła ją bomba lotnicza. Sam podmuch... jak płomyk — i nie mam nawet żadnej fotografii.

Tak mi ciężko patrzeć na Martę i kapitana, na ich miłość. Jak na siebie patrzą, jak ona go pogłaska po twarzy.

Biedny kapitan — lewą nogę do kolana ma amputowaną.

— Właściwie miałem spisać wszystko o śmierci Danusi. Żebym sam pamiętał, ale to nie ma sensu — przecież tego nie zapomnę, choćbym oszalał...

Raczej przez to oszaleję, że nie mogę zapomnieć.

...Właściwie dlaczego oni, ci durnie — lekarze od razu uwierzyli w moją symulację — nawet udawać nie potrzebowałem.

Głodny jestem... Anglik jeszcze skuczy — wnet chyba i do nas przyniosą obiad. Już od dziś Stefek nie daje sygnału — nie wyje, bo i tej rury już mu nie pchają w nos, zdrów jest. A z Anglika nic nie będzie. Jakie to ze Stefkiem idiotyczne — męczyli go, a przecież mógł już sam pić, a gdyby się jego ojciec nie spóźnił wczoraj na obiad, to i dziś by jeszcze Stefka męczyli.

O, już niosą obiad!...

16.XII.44 r. godz. 11.30.

Dziś już właściwie nie wiem, która jest godzina. Anglik nie jęczy. Umarł w nocy. Teraz obiad mnie może zaskoczyć przy pisaniu.

Chciałbym pójść zobaczyć, czy na pewno Anglik nie żyje, bo nie pamiętam jakoś wcale, kto o nim mówił. Może jestem przeziębiony i dlatego nie słyszę, jak jęczy. Ale nie! — na pewno to Marta mówiła.

Ach! już nigdy stąd nie chcę wychodzić z tej izby! Ba naprawdę można zwariować.

Takie to wszystko szalone!

Nie powinienem tego pisać, ale muszę, bo inaczej znów będę się męczył, że mi się tylko zdawało.

Wczoraj poszedłem na rewir bolszewicki, bo Marta tam miała pobrać opatrunki i lekarstwa dla nas wszystkich z ambulatorium.

Miałem jej pomóc przynieść: wchodzę w korytarz, wieczór już był, ale w korytarzu światło. Patrzę: drzwi ambulatorium, ale przez szybę widać, że tam ciemno. — Skoro mówiła, że tu, myślę, że ich jeszcze nie ma — otwieram drzwi — smuga światła wali na pryczę, słyszę jęk — a tam Marta pod tym szerokim sanitariuszem — nogi tylko jasno widać w tym świetle. Uciekłem, zatrzasnąłem chyba drzwi — nie wiem, czy słyszała. Uciekłem do naszej izby — położyłem się. Nie spałem, gdy przyszła. Musiałem widzieć, jak kochająco patrzy na kapitana i gładzi go po włosach ciepłą jeszcze ręką.

Myślałem, że jestem wariat, że wszystko to tylko mi się zdawało. Sprawdziłem ręką spod kołdry buty: pełno miałem na nich błota. No, tak, chodziłem do szpitala. Jeszcze mnie Marta zapytała czemu nie przyszedłem jej pomóc. I tak nie wiedziałem, gdy patrzyłem na jej troskliwość dla kapitana, czy nie jestem szalony. Co do tego uspokoił mnie kapitan. Rozgadał się tak bardzo, że sam powiedział, że naprawdę nie jest wcale kapitanem, a tylko plutonowym.

Ja go się wtedy pytam, czemu to robi, a on, bardzo miły jest chłop i z głową, powiada, „jak pan może z siebie wariata robić, żeby tu siedzieć, to ja mogę kapitana".

Tak, ale ja już więcej z tej izby nie wyjdę, gdzie się ruszyć — wszędzie szaleństwo. A swoją drogą, że Marty wtedy porucznik Płocki nie zastrzelił, to szkoda. I ja przez nią myślałem o Danusi. Powinienem to wyczuć!

Ale nie pisałem, co to było z nią i por. Płockim. Gdy już musieliśmy uciekać z Woli to się działo! Płocki był komendantem więzienia. Miał tam ze stu poaresztowanych Niemców, bab i dzieciaków też. Gdy cofaliśmy się, nie było co z nimi zrobić. Wtedy Płocki zaczął się rozbijać. Mnie tam nie było, ale to było dosyć przeraźliwe.

Sam Płocki się załamał — wpadł w jakiś szał.

Przygnał tamtych po 10 pod murem, pod lufami plutonu, po 2 godziny w ryku, w skomleniu. Stali ci nasi chłopcy, smarkate to jeszcze, dzieciuchowate, niektórzy — się wykańczali. 2 zemdlało nim Płocki rozkazał salwę. Potem właśnie wrócił wieczorem na kwaterę, wpadł z r.k.emem do pokoju sanitaruszek i zaczął rąbać po nich. Cud, że się karabin zaciął, ale i tak jedną zabił, dwie poranił, a czwartą była Marta.

Płockiego zaraz zastrzelili nim się co wyjaśniło, bo i tak cóż było robić z wariatem?

Szkoda, że Marty wtedy nie rąbnął.

Swoją drogą ja nigdy nie będę wychodził. Przecież to można oszaleć.

Albo i po co sobie tę głupią historię Płockiego przypominam?

Egzekutanci mdleją, mordowani im wymyślają i ryczą i płaczą, ten komendant po prostu wariat.

Dobrze, że dziś nigdzie nie idę i jutro i w ogóle nigdy.

Już tu zawsze będę.

17.XII.44 r. godz. 11.30.

Anglik nie żyje! Właściwie przez noc zrozumiałem, że już nie ma wyjścia. Tutaj też w tej izbie jest szaleństwo. Tutaj jest Marta, która kocha kapitana, a Marta nie z nim... a kapitan nie jest kapitanem. I tutaj przychodzą lekarze, którzy są wariatami, bo wierzą, że ja nie jestem normalny. Tu jest to samo, co tam za ścianami.

A tam jest jeszcze gorzej, bo cicho.

Już ani Stefek nie jęczy, bo go przez rurę nie karmią, i Anglik nie, bo nie żyje. A jest jeszcze gorzej, bo nie wiadomo, co tam za szaleństwa się dzieją.

Właściwie nie ma wyboru. Na mnie ciąży olbrzymie zadanie, ale mu podołam.

Otóż, jeżeli ja — nie zgodzę się być wariatem, to cała rzeczywistość, to cały świat będzie szalony.

Jeżeli się zgodzę, wtedy wszystko jest jasne.

Świat jest mądry, bo wszystko, co wiem, to są wyobrażenia o nim wariata.

Tak, ciąży na mnie olbrzymie zadanie.

Ale świat wyzwolę od szaleństwa.

Gdy tylko wejdą lekarze, powiem im, że oni są zdrowi, nie durnie, bo mieli rację:

Ja jestem wariat.

...Już kończę pisanie, bo od zaraz nie będę normalnym człowiekiem...

HALINA KRAHELSKA

Ghetto podziemne

Fragment powieści okupacyjnej p.t. „Kocioł śmierci"

Halina Krahelska, aresztowana w Milanówku 13 lipca 1944 roku przez Gestapo, zmarła w Ravensbrück 16 kwietnia 1945 roku. W ręce Gestapo wydała ją organizacja N.S.Z. radomska „Gromada" Zmarła była współpracowniczką „Lewego Toru" przed wojną.

Pan Rajch, człowiek towarzyski, miał znajomych w przeróżnych środowiskach. Odznaczał się on wielką tolerancją i doskonale pojmował wszelkie poglądy, sympatie i nastroje. Teraz zaś, „podczas przymusowej niewoli w ghetcie", jak mówił, jeszcze poszerzył krąg swych kontaktów. Chciał dotrzeć wszędzie, zobaczyć wszelkie możliwe odmiany przystosowywania się do nowych warunków, zrozumieć każdego w jego najgłębszych pobudkach, wierzeniach i przekonaniach.

Toteż, gdy jeden ze znajomych adwokatów zaproponował mu zapoznanie się z „ghettem podziemnym", przyjął to z wielką radością. W domu było pusto, nudno. Krąg domowych znajomych, z konieczności ograniczony do samych tylko Żydów, zacieśnił się i zmalał. Żona przeważnie była bez humoru, Linka pogrążała się coraz bardziej w medytacjach, babka po prostu straszyła swą skamieniałością. Wszystko przemawiało za tym, żeby wyrywać się z domu, wykorzystywać wolny czas, szperać po ludzkich kątach i podpatrywać mnogości ludzkiego życia.

W drodze do „podziemnego ghetta" znajomy wyjaśnił panu Rajchowi, że zapozna go ze swym dawnym klientem, ideowym komunistą, który w Polsce odsiedział sześć lat więzienia, nie załamał się i czynny był teraz w „podziemnym" ghetcie.

Pierwsza wizyta wypadła zresztą bardzo niefortunnie. Znajomy adwokat, opowiadając wiele o swym kliencie, zapomniał dodać, że znajduje się on w skrajnej, ostatecznej nędzy. Dochodząc do tego domu, pan Rajch zauważył, że zbliża się do innego jakby świata. Widać tu było już tylko zaostrzone, niebieskie, o czarnych, głębokich oczodołach twarze biedoty żydowskiej. Nędza tych ludzi była bardzo specyficzna, przejmująca, taka właśnie jakaś sino-czarna. Klient adwokata mieszkał w oficynie wielkiej, brudnej i obdartej kamienicy. Do mieszkania jego trzeba było bardzo długo iść po wąskich, śliskich schodach.

Zastukali i weszli.

Na środku pokoju, na rozesłanym, nędznym łóżku leżał trup młodej, jasnowłosej kobiety. Nie było chwili wątpliwości: od progu uderzyła w nozdrza specjalna woń, a jedyna w swym wyrazie sztywność rysów dopowiedziała reszty. Tuż przy zwłokach, na łóżku, siedziało małe, może dwuletnie, bardzo wesołe dziecko, o kędzierzawej, ciemnej główce i wielkich, pięknych oczach, coś niezrozumiale gaworzyło i zabawiało się pociąganiem guziczków czarnego swetra, który miała na sobie matka.

Dwaj mężczyźni utknęli w progu, opanowani uczuciem grozy.

Dopiero po chwili dźwignął się spod okna młody robotnik i podszedł ich przywitać. Wtedy pan Rajch zauważył, że na ławce pod oknem siedział jeszcze inny mężczyzna. Ten nie powstał, siedział dalej w cieniu.

Adwokat przepraszał, tłumaczył się — przecież nie wiedział nic o nieszczęściu!... Czy to choroba, czy coś innego?... Dlaczego nie dał znać, może potrzebna była pomoc?...

Młody człowiek uśmiechnął się blado. Miał uśmiech bardzo smutny, twarz głęboko zoraną wielką życiową troską. Uścisnął rękę swemu byłemu obrońcy i powiedział krótko:

— No nie, jakżebym mógł... Nadużywać! ...Pan wiele dla mnie swego czasu zrobił. Ot — los! Młoda była, zawsze źle z płucami, a tu niedojadanie... — machnął ręką, widać było, że nie chce o tym mówić.

— Czy dawno?

Wówczas odezwał się mężczyzna spod okna.

— Już dwa dni leży ciało, nie ma za co chować.

Adwokat i pan Rajch poruszyli się jednocześnie. Chwytali delikatnie młodego wdowca za rękaw, za ramię — wyciągali pugilaresy. Mieli przy tym obaj życzliwy, proszący, zalękniony wyraz twarzy. Ale gospodarz uścisnął ich ręce i jednocześnie jakby odsunął od siebie.

— Nie — powiedział — dziecko zaśnie, wyniosę, wystawię na ulicę, wtedy gmina pochowa.

Odeszli przerażeni...

. . . . . .

Dopiero po paru miesiącach odważyli się wrócić do tego mieszkania. Młody wdowiec przyjął ich bardzo serdecznie.

— Wtedy — powiedział — nie byłem do rozmowy. Bardzo bolało. Teraz — czas wszystko leczy. — I uśmiechnął się tym swoim smutnym uśmiechem.

Pousiadali. Nijako było rozpoczynać nową rozmowę. W tę pauzę weszło właśnie dwóch ludzi.

— Jakub — spytali od proga — zajęty?

Adwokat i pan Rajch porwali się, ale Jakub powiedział stanowczo:

— Nie, nie, siedźcie. Sekretów dziś nie ma. Przyzwoici ludzie mogą się porozumieć.

I goście rozgadali się od razu. Byli to robotnicy — towarzysze Jakuba.

Tak właśnie zaczął się pierwszy kontakt pana Rajcha z „podziemnym ghettem".

Od tego się rozpoczęło. A potem poszło już szybko zżycie się z nowym środowiskiem.

Pan Rajch, solidny pan Rajch, nigdy nie myślał, że tak łatwo wejść do roboty podziemnej, że tak łatwo można się wciągnąć do walki politycznej, i że tak trudno będzie mu odejść, zerwać z nowymi towarzyszami, z tym gatunkiem pracy i życia. To opanowywało człowieka bardziej, niż jakikolwiek nałóg, stawało się narkotykiem, bez którego już wcale nie można było żyć.

Wystarczało raz zakosztować atmosfery walki, aby już nie można było powrócić do dawnego, biernego, zrezygnowanego znoszenia cierpień bez żadnego oporu, sprzeciwu, kontrataku.

Pan Rajch miał teraz dużo pracy. Posyłano go, aby nawiązywał pourywane kontakty w ghetcie i poza murami. Ale najbardziej ciągnęło go do Jakuba i długich z nim rozmów. To była jego szkoła, szkoła jego nowego życia. A Jakub umiał i lubił mówić.

Twarda, surowa jego twarz, młoda a zorana głębokimi bruzdami, przez więzienie i ciężkie życie, niekiedy oświetlała się jakby łuną, ale od wewnątrz. Było to w chwilach kiedy wyjaśniał politykę Stalina, kiedy rozwijał perspektywy przyszłości, perspektywy Europy.

— Stalin rozgrywa wielką grę — mówił — bardzo mało kto go rozumie. Teraz już wyraźnie wszystko widać. To jest stawka o przyszłość Europy, a może i świata. Gdyby nie o to szło, nie kładłby przecie na polach bitew milionowych ofiar życia ludzi sowieckich — wyborowej, najlepszej młodzieży! O to idzie stawka.

— No, a Polska? — wtrącił pan Rajch. — Jak to sobie wyobrażacie?

— Polska — odpowiedział Jakub z właściwym sobie skupieniem i zamyślił się. — I dla mnie najważniejsza rzecz, Polska. Zostałem tu, mogłem z Warszawy wyjść, — nie chciałem. Tu się urodziłem, czuję się zrośnięty z Warszawą, z Polską.

I zakończył z westchnieniem:

— Po najokropniejszym okresie w dziejach ludzkości, jaki przeżywamy — może nastąpić najpiękniejszy fantastyczny okres nowej budowy świata i nowej Polski.

......

* * *

Pan Rajch był już całkowicie pochłonięty przez pracę w podziemnym ghetcie, kiedy zetknął się z nowymi stronami tej pracy. To już nie ąyło chodzenie na zebrania i rozmowy z nielicznymi słuchaczami. To nie było noszenie gazetek pod wskazane adresy i punkty. Ani nocne dyżury przy powielaczu. To było jeszcze groźniejsze, jeszcze niebezpieczniejsze. Chodziło o przenoszenie zza murów broni, o znajdowanie dla środków wybuchowych coraz to nowych składów i miejsc bezpiecznych.

Ale pan Rajch już wcale nie myślał ani o swoim, ani o swoich bliskich bezpieczeństwie. Od czasu, gdy Niemcy rozpoczęli na terenie ghetta planową akcję „likwidacji" Żydów — był już przygotowany na śmierć. Wiedział, że jej nie uniknie. Może dlatego jeszcze oddał się tak całkowicie i bez reszty sprawom podziemnym, całkowicie i bez reszty walce bojówki — a nie ochronie życia swojego i swoich bliskich, bo już w ratunek nie wierzył.

Spotykamy go jeszcze ciągle, ponawiane od chwili rozpoczęcia likwidacji w ghetcie, coraz częstsze propozycje wyjścia za mur. Dawni koledzy, przyjaciele i znajomi ofiarowywali się wszystko ułatwić, załatwić, pomóc. Nie chciał. Już nie chodziło mu o starą matkę, która by wcale tego przejścia znieść nie mogła, ani o wygląd żony i córki, który tyle zaważył na decyzji wejścia do ghetta, ani o własne bezpieczeństwo.

Teraz w grę weszły zupełnie inne czynniki, uczucia i myśli. Nie umiałby tego nikomu wyjaśnić, sam sobie nie zdawał dokładnie sprawy z własnych przeżyć.

Powtarzał sobie jedynie, uczył się jak formułki na pamięć, utrwalał na zawsze. Walczył o to z żoną i córką, które nie mogły. nie chciały za nic rezygnować z życia. „Nie porzuca się towarzyszy w nieszczęściu i w niebezpieczeństwie. Jak szczury tonący okręt. „Il faut mourir en brave".

Zbliżała się wiosna. Ghetto pustoszało coraz bardziej, „Likwidacja" dobiegała kresu. Jakim cudem rodzinie Rajchów udawało się wciąż jeszcze utrzymać przy życiu, dla nich samych było największą zagadką. Jak długo jeszcze? — pytanie najważniejsze przygłuszało wszystkie myśli, nie pozwalało na-

wet na zdziwienie, że tak długo, tak szczęśliwie udawało im się uniknąć gwałtownej śmierci na miejscu lub wywiezienia w nieznane, niepowrotne.

Szczęśliwie! Dziwne, śmieszne słowo!

Pan Rajch zresztą zbyt był teraz czynny i zapracowany, by móc myśleć o tym wszystkim. Szykował się wraz z towarzyszami do ostatniej walki — nie o życie, do walki o śmierć!

O to, właśnie o to chodziło. Zginąć nie jak bezbronna ofiara — ale zginąć w walce. Ghetto to było pole walki — a z pola walki się nie ucieka. Zginąć w walce — było to ostatnie marzenie pana Rajcha. Oto czego jeszcze pragnął — on i jego towarzysze — Walki.

Nadeszła.

W piękne, kwietniowe dni 1943 roku — Niemcy po raz pierwszy na terenie ghetta napotkali nie bierne przerażenie, nie odrętwiały spokój, nie dumną rezygnację, ale zbrojny opór ludzi przygotowanych do obrony, do walki.

W nocy z 18 na 19-ty kwietnia rozpoczął się ostatni akt tragedii ghetta warszawskiego. Pierwsze starcie odbyło się na Nalewkach. Walka kończy się zwycięstwem bojowców. U zbiegu ulicy Miłej i Zamenhofa toczy się główny bój. Ciągle jeszcze górą są bojowcy, których straty w ludziach są minimalne, podczas gdy Niemcy tracą kilkuset ludzi.

Wstydząc się długich walk, w drugim dniu akcji, zaczynają Niemcy podpalać ghetto, w pierwszym rzędzie domy i bloki domów, w których natrafili na opór. Sprowadzają artylerię — rozpoczynają formalne oblężenie. Walki trwają bez przerwy we dnie i w nocy. Niemcy muszą zdobywać każdą ulicę, każdy dom. Ofiar wśród bojowców prawie nie ma. Ale nie ma też dla nich schronienia, dla nich, wyczerpanych nieustanną walką, głodem, pragnieniem, żarem rozpalonego asfaltu, płonących murów, szalejącego ognia. Kończył się też zapas amunicji.

Pan Rajch przeżył te dwa dni walki jak w transie hipnotycznym. Podniecenie, upojenie, jakby stan ekstazy, zagłuszył w nim wszystkie inne uczucia. Żona, córka, matka? — Nie myślał o nich. Nie myślał też o swym życiu. Pochłonęła go myśl jedna, stara, dawna myśl o pięknej śmierci w walce do ostatniej chwili. Nie zastanawiał się nad niczym, wykonywał rozkazy swego dowódcy, gotów na każde skinienie, do każdej akcji.

Zbliżał się jednak koniec.

Ale pan Rajch nie obawiał się go już.

— Jeżeli dożyję — myślał — wtedy — byle nie wpaść w ręce wroga — wtedy — trzeba będzie samemu z sobą skończyć...

I znowu powróciła jak refren—wyuczona, zapamiętana dobrze formuła — „Il faut mourir en brave".

Dnia 8 maja otoczyli Niemcy główny schron organizacji bojowej. Pan Rajch, który stał właśnie u wylotu, dojrzał ich już z daleka, jak zamykali wszystkie prowadzące do niego wejścia.

A więc teraz, już, zaraz, za chwilę!

Przyglądał się długo z niedowierzaniem swemu rewolwerowi, obracał go niezdecydowanie w rękach.

Strzał, którym zakończył swe życie, solidny, spokojny pan Rajch, był sygnałem dla zebranych w schronie bojowców, że chwila ostatnia nadeszła.

CZESŁAWA WOJEŃSKA

Adam Próchnik

Tragiczna śmierć Adama Próchnika na wiosnę 1942 roku przeszła bez większego wrażenia w szerszych kołach społeczeństwa polskiego. W tym czasie śmierć naturalna, niepoprzedzona torturą więzienia i śledztwa, nie w obozie niemieckim — wydawała się o tyle szczęśliwsza, że nikt nie miał dość cywilnej odwagi, aby się specjalnie nią wzruszać.

Większe wrażenie wywołała ta śmierć wśród bezpośrednich towarzyszy pracy i w organizacjach, do których należał. Tam stworzyła lukę, którą niełatwo było zapełnić, tam zabrakło człowieka, który był trudny do zastąpienia. Ale z tego zdawała sobie sprawę tylko grupa najbliższych towarzyszy, w gronie których żył, pracował i walczył. Dla nich śmierć jego była tym tragiczniejsza, że znali okoliczności naprawdę dramatyczne, które ją poprzedziły i były bezpośrednią jej przyczyną. Może najbardziej wstrząsające było — że zginął w związku ze sprawami, dla których poświęcił całe swe życie.

Adam Próchnik urodził się w 1895 roku w rodzinie inteligenckiej. Rodzice jego byli blisko związani z ruchem socjalistycznym ówczesnej Galicji, toteż Próchnik zetknął się z zagadnieniami społecznymi bardzo wcześnie. Lata dziecięce spędził w Paryżu, gdzie rodzice jego odbywali studia uniwersyteckie. Wcześnie też nauczył się samotności i samodzielnego dawania sobie rady. W wielkim obcym mieście kilkuletnie dziecko samo

spędzało prawie całe dnie. Towarzyszem jego dzieciństwa była książka i została mu ona wierna aż do śmierci. Lata szkolne spędził we Lwowie. Od czwartej klasy gimnazjalnej należał do organizacji młodzieży szkolnej „Promień", której odpowiednikiem na terenie uniwersyteckim były organizacje filareckie, a w starszym społeczeństwie Polska Paria Socjalistyczna.

Zdolny, bystry, dobry mówca, szybko wysunął się na czoło organizacji młodzieży szkolnej — reprezentuje ją też na zjazdach, konferencjach i komisji międzystowarzyszeniowej. W tym czasie, jako uczeń szkoły średniej, wstępuje do sekcji partyjnej młodzieży PPS. Po otrzymaniu świadectwa dojrzałości w 1912 r. wstępuje na Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Lwowskiego, gdzie studiuje historię. Należy w tym czasie do organizacji akademickiej „Życie", która wchodziła w skład ogólnej Filareckiej Organizacji Młodzieży. Należy jednocześnie do PPS, pracuje też początkowo w Związku Walki Czynnej a później w „Strzelcu".

Wybuch wojny europejskiej 1914 roku zastaje go w Galicji. Wstępuje do Legionów. Odbywa całą wojenną kampanię legionową, otrzymuje stopień oficerski. Pracuje później w POW, zwłaszcza w peowiackiej prasie. Po wojnie wraca do pracy partyjnej w PPS. Pracuje też zawodowo jako nauczyciel a jednocześnie kończy studia uniwersyteckie, zdobywając tytuł doktora filozofii. Następne lata spędza jako nauczyciel szkoły średniej w Piotrkowie, gdzie kandyduje na posła do Sejmu z listy PPS i prowadzi przez kilka lat całą robotę partyjną tego okręgu. Pisuje też w tych latach często cenne artykuły do „Robotnika", zyskując opinię jednego z najzdolniejszych publicystów obozu socjalistycznego w Polsce. W okresie pełnienia obowiązków posła na Sejm dał się poznać jako doskonały mówca. Nie był demagogicznym mówcą wiecowym, ale porywał słuchaczy głęboką wiarą w głoszone tezy, jasną, logiczną konstrukcją myślową przemówień i odczytów. Nie głosi komunałów, nie powtarza truizmów — każde jego przemówienie wnosi coś nowego, daje inne oświetlenie, własne przemyślenie poruszanych spraw i zagadnień.

Jako poseł na Sejm przenosi się Adam Próchnik do Warszawy, gdzie pracuje jako nauczyciel historii i historyk w Archiwum Państwowym. Praca w archiwum niesłychanie wzbogaciła jego wiedzę historyczną i przyczyniła się w dużym stopniu do powstania licznych prac i książek historycznych. Najciekawsze z nich drukował w piśmie historyków „Niepodległość". Z większych prac jego najbardziej znana i ceniona jest napisana na 20-lecie niepodległości Polski, która zawiera ocenę

okresu niepodległości po wojnie 1914 roku, od strony politycznej i społecznej, oraz zbiór felietonów pod tytułem: „Idee i ludzie”. Obie te prace są poważnym przyczynkiem i źródłowym materiałem dla dziejów rozwoju i walki myśli demokratycznej w Polsce.

W ciągu całego swego życia pozostał Adam Próchnik wierny ideałom najwcześniejszej młodości. I właśnie dlatego należy do opozycji na terenie partii, której członkiem był przez całe życie, na terenie Polskiej Partii Socjalistycznej. Bo Adam Próchnik swych przekonań nie zmienił, natomiast PPS przechodziła w ciągu tego czasu wstrząsy i przemiany, które zmusiły prawdziwego demokratę i socjalistę do pozostawania w ciągłej opozycji w stosunku do władz partyjnych.

W ciągu tych lat niepodległości PPS znajdowała się pod wybitnymi wpływami obozu Piłsudczyków. Adam Próchnik, były oficer legionowy, nie godził się z polityką sanacji w Polsce i tym bardziej nie godził się z wpływami tego obozu w partii. Wyjście z PPS grupy Moraczewskiego i Jaworowskiego nie na długo i nie całkowicie poprawiło sytuację. Ciągle jeszcze na czele PPS stali ludzie w rodzaju Kwapińskiego i Arciszewskiego. Stąd wynikały ustawiczne tarcia na tle ideowym między Adamem Próchnikiem i władzami partii.

Adam Próchnik staje na czele opozycji wewnątrz PPS i jest tej grupy wodzem do wybuchu wojny i podczas okupacji, aż do chwili śmierci. Walka o właściwą postawę i taktykę partii, walka o linię partyjną zaciążyła na całym życiu i działalności Próchnika, stanowiąc bolesną wewnętrzną ranę, utrudniając rozmach i rozwój jego jako działacza politycznego. Próchnik był marksistą, więc rewizjonistyczne tendencje, które opanowały PPS w ostatnim ćwierćwieczu, były mu obce i wrogie. Obcy i wrogi był mu również reżim sanacyjny, jaki zapanował w Polsce i przeniknął nawet do Polskiej Partii Socjalistycznej. W walce całożyciowej o zwycięstwo prawdziwej demokracji w Polsce wyczerpywało się życie Próchnika. Bo terenem tej walki była także partia, w ramach której działał, bo nawet w gronie towarzyszy nie mógł sobie pozwolić na momenty rozbrojenia i wypoczynku.

Było to tym tragiczniejsze, że z natury Adam Próchnik był człowiekiem łagodnym i spokojnym, nawet miękkim i ustępliwym. W charakterze jego refleksyjność przeważała nad impulsywnością. Był raczej typem naukowca, teoretyka, intelektualisty, ideologa niż fanatycznego działacza i bojownika. Był tolerancyjny, umiał stawać na różnych punktach widzenia, ro-

zumieć różne stanowiska. A mimo to, nie mógł spokojnie i tolerancyjnie odnosić się ani do tego, co się działo w Polsce, ani do stosunków wewnętrznych w Polskiej Partii Socjalistycznej, ani do jej taktyki zewnętrznej ostatniego dziesiątka lat przed wojną. Jest to niewątpliwie miarą tragiczną, określającą zły stan i błędną polityką rządów polskich, jak również miarą określającą błędną, fałszywą linię polityki kierownictwa PPS-u w tych latach.

W czasach zaostrzenia walki z reżimem sanacyjnym w Polsce, w okresie montowania jednolitego frontu, Adam Próchnik, stojący na czele opozycji pepeesowskiej, przystępuje do akcji jednolito-frontowej. Jest czołowym pisarzem „Lewego Toru", jednym z jego redaktorów, a jego artykuły w tym piśmie stanowią ważne momenty walki o zmianę stosunków społecznych i politycznych w Polsce.

Po okresie wzmożonej aktywności, przy montowaniu jednolitego frontu w Polsce nastąpiła fala represyj, która uniemożliwiła dalszą jawną pracę w tym kierunku. „Lewy Tor" zostaje zamknięty, a odpowiedzialny redaktor, Bobowski, aresztowany. Przed opozycją pepeesowską staje zagadnienie rozłamu. Głębokie jednak przywiązanie Próchnika do partii, w której pracował od dni najwcześniejszej młodości, optymistyczna wiara, że przecież potrafi się ludzi przekonać, że uda się towarzyszy nawrócić na właściwą drogę i linię postępowania, oddalają to niebezpieczeństwo, odsuwają moment krytyczny.

Wybucha wojna 1939 roku. Adam Próchnik bierze czynny udział w obronie Warszawy. Pod okupacją natychmiast przystępuje do akcji podziemnej, siły swoje poświęca głównie organizowaniu konspiracyjnej pracy PPS-u. Nie może się w dalszym ciągu porozumieć z kierownikami partii, którzy podczas okupacji działali jako tak zwany WRN. Różnice bowiem jeszcze się pogłębiły i zaostrzyły. Grupa WRN coraz bardziej zbliżała się do grup emigracyjnych sanacji, coraz też ostrzej zarysowały się różnice w poglądach na politykę zagraniczną Polski, w stosunku zwłaszcza do Związku Radzieckiego. Wspólna praca staje się zupełnie niemożliwa. Powstrzymywany, choć grożący w ciągu całego dwudziestopięciolecia Polski Niepodległej rozłam następuje. Przy WRN-ie zgrupowały się reakcyjno-sanacyjne elementy PPS, rozszerzone wydatnie przez szeregi tych senatorów, którzy po klęsce 1939 roku nie chcieli się przyznawać do dawnej przynależności partyjnej. Wokół Próchnika, Chudoby, Barlickiego, Dubois i innych zostało natomiast całe właściwe, zdrowe jądro partii i przystąpiło do pracy w podziemiach. Wydawała ta grupa początkowo jako PS (pol-

scy socjaliści), później zorganizowana jako RPPS, liczne nielegalne pisma z „Barykadą Wolności" i „Robotnikiem" na czele.

Rozejście się z towarzyszami partyjnymi pod okupacją było specjalnie bolesne. Wszyscy zdawali sobie sprawę z konieczności jak największego zespolenia całego Narodu. Wszyscy rozumieli wagę solidarnych wystąpień całego społeczeństwa. Wszyscy wreszcie pragnęli zjednoczenia, a nie rozbicia, akcji scaleniowej a nie rozbijającej społeczeństwo na małe i coraz mniejsze grupy i ugrupowania. Ale mimo tej świadomości, dla żadnego prawdziwego demokraty nie było możliwe pozostawanie nadal w grupie WRN, brnięcie dalej w błędy nie do naprawienia. Nienawiść tych eks- czy pseudosocjalistów i demokratów do Związku Radzieckiego uczyniła z nich grupę reakcyjną, bo łączącą się z reakcją emigracyjnną w linii politycznej bezsensownych wystąpień.

Dla Adama Próchnika rozłam była to decyzja zarówno konieczna, bo zgodna z postawą ideologiczną i poglądami, jak tragiczna i ze względu na gorące przywiązanie do partii i ze względu na świadomość konieczności łączenia się walczącej demokracji w duży blok, a nie rozbijania na mniejsze grupki i partie.

Toteż, gdy z Londynu przyleciał emisariusz tamtejszego rządu, a towarzysz z PPS-u, działacz Związków Zawodowych i osobisty przyjaciel Próchnika, Wiktor (Wojciech) Strzelecki, (znany pod pseudonimem Karol), i rozpoczął usiłowania pogodzenia i ponownego połączenia grup pepeesowskich, Próchnik, jakkolwiek niewielką w tym czasie żywił nadzieję pomyślnego rozwiązania trudności, zgadza się na rozpoczęcie pertraktacyj z grupą WRN-u. Od pierwszych jednak rozmów sytuacja wygląda tragicznie i beznadziejnie. Karol jednak nalega, namawia, prosi, tłumaczy. I Próchnik prowadził nadal rozmowy, które szarpały mu nerwy na strzępy, doprowadzały tego łagodnego i spokojnego z natury człowieka do takich wybuchów oburzenia i gniewu, do jakich ani on sam, ani nikt kto go znał, nie podejrzewał, że jest w ogóle zdolny. W czasie jednej z takich dyskusyj, na wiosnę 1942 roku, w publicznym lokalu na ulicy Brackiej Nr 18, lokalu dobrze znanym konspiracyjnej Warszawie, uniesiony gniewem na oburzającą go zawsze postawę wodzów WRN-u, że nie przemawiają do nich żadne najsłuszniejsze, oczywiste zupełnie argumenty, uderzony boleśnie insynuacjami, które były główną bronią grupy Wuerenu — dostaje ataku serca. Przewieziony do domu, nie odzyskawszy przytomności, umiera.

Wytrzymał w doskonałej formie fizycznej i moralnej obronę Warszawy, głodowe lata okupacji, niebezpieczną pracę w konspiracji, śmierć dziecka. — Jego pogoda duchowa, spokój i opanowanie były dla wielu towarzyszy pracy podporą, dla wszystkich wzorem. Ale serce jego nie wytrzymało walki ze złą wolą i kłamstwem, z insynuacjami i oskarżeniami byłych towarzyszy partyjnych.

Umarł — i nie doczekał czasów, które tak jasno okazały słuszność i rację jego stanowiska. Nie doczekał chwili niepodległości, w którą nie wątpił nawet przez chwilę, ani odbudowy swojej partii, Polskiej Partii Socjalistycznej, na tych podstawach ideologicznych, o które walczył całe życie. W walce o właściwą linię postępowania tej partii zginął, nie doczekawszy chwili zwycięstwa — już bliskiej.

Trzecia część artykułu Wacława Bieleckiego p.t. „Stara i nowa demokracja" ukaże się w następnym 4-tym numerze „Lewego Toru".

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
MARSZAŁKOWSKA 6
(parter, poprzeczna oficyna)

Redakcja przyjmuje we wtorki od 16—18

Wydawca: **Zespół „Lewy Tor"**
Redaguje: **Zespół literacki „Lewy Tor"**

Nr. 1333. — **Graficzna Spółdz. Pracy „Grochów", Grochowska 194.** — B-03640.